

Wadim Szefer

KULISTA TAJEMNICA

Przełożyła Zofia Dudzińska

## POŻYCZKA OD LOSU

Owego czerwcowego dnia J. Lesowałow stał pod przydrożną sosną chroniąc się przed ulewą i czekał na podmiejski autobus. Szosa na tym odcinku biegła pod górę i po asfalcie spływał szeroki potok, niosący mnóstwo drobnych odpadów lasu cieniutkie gałązki, łuski szyszek, pożółkłe świerkowe igły. Wyglądało to tak, jakby cała szosa sunęła niczym taśma transportera. A w górze robiono generalne porządki przed wprowadzeniem się lata. Myto tam pospiesznie szyby, wylewając na ziemię strumienie wody, przesuwno z hałasem niewidoczne dla ludzi meble, stupudowym młotem wbijano w niewidzialną ścianę nie istniejące gwoździe, usuwając budowlane usterki pracowali po godzinach niebiańscy spawacze. Niebo drżało w posadach, wszystko tam grzmiało i płońło.

Nie jest bezpiecznie stać pod drzewem w czasie burzy, ale J. Lesowałow nie zastanawiał się nad tym. Rozmyślał, jak by to najlepiej napisać reportaż i jak go najbardziej frapująco zatytułować. "Tak postępują ludzie uczciwi"? Albo: "On nie mógł postąpić inaczej"? ...A może: "Szlachetny znalazca"? To brzmi nieźle!

Problem polegał na tym, że do redakcji przyszedł niedawno list, w którym komunikowano raczej chaotycznie, iż nocny stróż pewnego leningradzkiego domu kultury obchodząc budynek znalazł teczkę, a w niej 10 000 rubli. Jak się okazało później, pieniądze pozostawił w sali kinowej kasjer D. Piericzko, który uświadomił sobie ten fakt dopiero następnego dnia rano i popędził do domu kultury, gdzie spotkał stróża N. Lesowałowa, który zakomunikował mu, że teczkę wraz z zawartością odniósł w stanie nienaruszonym do najbliższego oddziału Narodowego Banku. List był napisany i podpisany przez M. Bakszejewą, kierowniczkę domu kultury.

Kierownik działu Sawiejkow postanowił wysłać na miejsce wydarzenia początkującego dziennikarza J. Lesowałowa, by przygotował reportaż o uczciwym nocnym strózu.

- Zwłaszcza że nosi on pańskie nazwisko - dodał Sawiejkow. - To nawet zabawne: Lesowałow o Lesowałowie.

- Nie Lesowałow o Lesowałowie, lecz Anakonda o Lesowałowie stanowczo sprostował Jurij. Niezbyt podobało mu się własne nazwisko, przybrał więc pseudonim literacki. Co prawda artykuły i informacje sygnowane tym egzotycznym podpisem nie ukazywały się dotychczas w gazecie, ponieważ materiały, których Jurij dostarczał, były słabiutkie. Podejrzewano, że brak mu talentu. Obecne zadanie redakcyjne miało sprawę ostatecznie rozstrzygnąć. Jeżeli reportaż nie będzie nadawał się do druku, jak poprzednie, J. Lesowałow rozstanie się z redakcją. Następnego dnia Anakonda (będziemy go tak niekiedy nazywać, skoro mu na tym zależy) wyruszył do domu kultury, gdzie zebrał pewne informacje o N. Lesowałowie. Okazało się, że stróż ma niejaki grzeszki na sumieniu. Lubi wypić, czasem nawet jest ordynarny wobec przełożonych. Co się zaś tyczy znalezionej przezeń teczki, istotnie, tak właśnie sprawa wyglądała, ale postępowanie takie wchodzi w zakres jego obowiązków. W ubiegłym roku tenże Lesowałow znalazł w sali widowiskowej damską torebkę, w której było pięćdziesiąt rubli, i również ją zwrócił.

Samego stróża Anakonda na miejscu nie zastał i to nie tylko dlatego, że zjawił się w domu kultury w dzień, ale również dlatego, iż jak się okazało, stróż trzy dni temu wyjechał do wsi Gniezdowo, trzydzieści kilometrów od miasta, ponieważ rozpoczął właśnie urlop. Zdobywszy dokładny adres N. Lesowałowa Jurij natychmiast udał się na dworzec autobusowy i wkrótce znalazł się w Gniezdowie.

Stróż N. Lesowałow mieszkał tu u krewnych, w zbitej z desek przybudówce. Drzwi otworzyła jego żona, niemłoda kobieta w zniszczonej i nie pasującej do jej wieku kolorowej sukni. Poprosiła, by Jurij nieco poczekał, bo mąż śpi. Okazało się, że poprzedniego dnia stróż miał gościa. Kasjer Piericzko po odzyskaniu zgubionej teczki i dokonaniu wypłaty pensji

przyjechał podziękować N. Lesowałowi. Przywiózł tort "Północ" i trzy paczki prawdziwej kawy. "Mój stary, oczywiście, obraził się, bo nie to mu jest potrzebne do szczęścia. A tamten powiada: Po tym nieszczęsnym wydarzeniu - sam wódki do ust nie wezmę i innych będę przed nią przestrzegał. Widać przejął się człowiek" - zakończyła żona stróża swą opowieść i poszła budzić męża.

Wreszcie z przybudówki wyszedł wysoki starzec. Czy to z powodu tortu, czy może po prostu z racji charakteru minę miał posępną. Wiadomość o tym, że Jurij chce o nim pisać, przyjął bez należytego entuzjazmu.

- To jak pan się nazywa? - spytał ponuro.

- Jurij Lesowałow. Ale w ogóle to jestem Anakonda.

- Że co? - posępnie zdziwił się starzec. - Dlaczego ona konda?

- Anakonda to taki wąż. Żyje w dorzeczu Amazonki, poszczególne egzemplarze osiągają piętnaście metrów długości.

- A po cóż to przezywać się gadem? - nietaktownie zainteresował się stróż.

- Jest to mój pseudonim literacki, brzmi on po męsku i romantycznie - wyjaśnił cierpliwie Jurij, przygotowując notes. Proszę opowiedzieć mi własnymi słowami, co pana popchnęło do tego szlachetnego postępu.

- Nic mnie nie popychało - obojętnie stwierdził stróż.

- Wobec tego może pan opowie, jak to było?

- Siedzę, znaczy, nocą w hallu. Nagle coś jakbym poczuł dym. No to postanowiłem zajrzeć do sali kinowej. Sprzątaczką Ludką to leń, powinna sprzątać po ostatnim seansie, ale wyszła sobie wcześniej i powiedziała, że sprzątnie rano. A w ostatnim rzędzie czasem chłopaki palą, wiadomo, chuligani. Myślę sobie, czy nie zostawili peta. Wszedłem, na oko wszystko w porządku. Potem idę przejściem, patrzę, w ostatnim rzędzie coś błyszczący pod fotelem. Ano, to ja tam i widzę - stoi pół litra, na dnie zostało jeszcze z pięćdziesiąt gramów. Potem rozejrzałem się, widzę - obok leży teczka. Te pięćdziesiąt czy może sześćdziesiąt gramów dopiłem, co się miało dobro marnować. No a butelkę do kieszeni. Dwanaście kopiejek też piechotą nie chodzi.

- A teczka, teczka?!

- Teczkę, znaczy, otworzyłem. Widzę pieniądze i jakieś papiery. Wróciłem do hallu, zadzwoniłem stamtąd do milicji. A dyżurny powiada: "Jeśli przy pieniądzach są dokumenty, odnieście je lepiej, obywatelu, rano do oddziału Narodowego Banku". No to rano odniosłem i oddałem za pokwitowaniem.

- Jakie myśli drażyły w tym momencie pańską świadomość i podświadomość?

- Nic mnie nie drażyło, okropnie chciało mi się spać.

Niewiele udało się ze starego wycisnąć. I Anakonda stojąc teraz na deszczu rozmyślał, jak z tych skąpych danych, które zdobył, sprokurować błyskotliwy, pełnokrwisty reportaż.

Burza ucichła. Ponieważ autobus wciąż nie przyjeżdżał, Jurij postanowił przespacerować się do następnego przystanku. Asfalt był jeszcze wilgotny, ale strumień wody już z niego spłynął. Anakonda oddychał z przyjemnością. Świat został umyty i przewietrzony. W głowie Jurija, w rytm marszu, zaczął już powstawać plan przyszłego reportażu. Zbijały go z tropu jedynie moralne niedostatki starego: jego posępność, braki intelektualne, małostkowość ("dwanaście kopiejek piechotą nie chodzi"), lekceważenie przedstawiciela prasy... Niejedno trzeba będzie dodać od siebie i twórczo przetworzyć, by stworzyć pełnowartościowy obraz szlachetnego znalazcy.

Nagle Anakonda zatrzymał się.

Parę kroków od pobocza szosy leżała nowa brązowa teczka, średniej jakości. Mogła należeć równie dobrze do ucznia ostatnich klas, jak i do studenta lub nawet inżyniera. Nie była zbyt wypchana i można by właściwie nazwać ją płaską, gdyby nie wypukłość w dolnym lewym rogu - prawdopodobnie znajdował się tam jakiś przedmiot. Powierzchnia teczki była sucha.

Ktoś musiał ją zgubić niedawno, już po przejściu ulewy, choć zdawało się, że nikt w tym czasie ani nie przechodził szosą, ani nie przejeżdżał.

Rozejrzawszy się dokoła Anakonda podniósł teczkę. Była zdumiewająco ciężka. "Może jest w niej złoto?" - przemknęło mu przez głowę.

Powtórnie omiótł szybkim spojrzeniem okolice i pospiesznie oddalając się od szosy wszedł w las. Wilgotny mech mlaskał pod nogami. Paciorki wody nawleczone na koniuszki igieł sosnowych jakby mrugały do niego. Zdawało się, że cały las obserwuje Jurija. Ptaki, ucichłe na czas burzy, śpiewały teraz przerażająco głośno.

Wreszcie Anakonda znalazł pień otoczony ze wszystkich stron przez młode sosenki. Usiadł. Nacisnął zamek. Teczka miała dwie przegródki. W jednej znajdowała się duża zielona koperta, w drugiej kula nieco większa od piłki tenisowej. Jurij wziął ją do ręki i natychmiast upuścił. Była nieprzyjemnie zimna i ciężka. Potem sięgnął po kopertę. U góry miała nadruk jakiegoś urzędu czy przedsiębiorstwa, poniżej biegł drobny nonparelowy tekst. W samym środku koperty ktoś z rozmachem i dużymi cyframi nakreślił ołówkiem: 10 000 r. Czyżby wewnątrz istotnie znajdowały się pieniądze?

Anakonda naderwał brzeżek koperty. Na jego dłoń wypadła paczka dziesięciorublowych banknotów w banderoли 10x100. Potem paczka banknotów pięćdziesięciorublowych (50x100). Potem znów dziesięciorublowki. W sumie naliczył 10 000 rubli, zgodnie z tym co zapowiadał napis na kopercie. Jurij znieruchomiał w zadumie. Opanowały go dwie absolutnie przeciwstawne, a zarazem absolutnie jednoczesne myśli.

koniecznie należy odnieść

"Te pieniądze ----- do banku".

wcale niekoniecznie muszą trafić

Zapalił, zaciągnął się i powiedział szeptem do młodej sosenki, rosnącej obok pnia: "Gdyby znalazł je ktoś inny, też by się pewnie długo zastanawiał, czy je oddać".

Po burzy było bezwietrznie, sosenka stała nieruchomo i milczała jak zakłeta. Dym zaplątał się w gałązce pochylonej nad kopertą, igły jakby zmętniały, zamazały się. Parę kropelek upadło na zielonkawy papier. Od szosy dobiegł cichy warkot - jechał jakiś samochód osobowy. Może to z niego wypadła teczka i teraz jej szukają? Ale samochód przejechał, znów zapanowała cisza. Przez głowę Jurija mknęły szybkie i chaotyczne myśli:

"Staremu łatwo było oddać pieniądze... to będzie bombowy reportaż... Nie ma żadnych kulturalnych potrzeb... ale wszyscy się zdziwią... Dla starego oddanie pieniędzy do banku nie było żadnym problemem... prawdziwa sensacja: młody dziennikarz, który dopiero co przeprowadził wywiad na ten temat... A mnie te pieniądze naprawdę są potrzebne... też znajduje teczkę z pieniędzmi i uczciwie je zwraca... Użyją ich jako materialnej bazy... do banku, nie, najpierw do redakcji, i wszyscy gratu... Ale tylko ja wiem o tych pieniądzech... lują mi szczęścia i dziennikarskiego osi... Ostatecznie mogą sobie wyobrazić, że te pieniądze wygrałem..."

Jurij wsunął paczki banknotów do koper ty i położył ją na kolanach stroną z nadrukiem do dołu, żeby przypadkiem nie odczytać nazwy instytucji. ("Jeśli przeczytam, będę wiedział, do kogo te pieniądze należą, czyli byłaby to jakby kradzież, jeśli się od tego powstrzymam - będzie to po prostu anonimowy dar losu"). Znowu zapalił, odrzucił nie dopalony papieros, ponownie wyjął pieniądze z koperty, przyjrzał się im. Potem wstał i zaczął upychać paczki banknotów po kieszeniach. Marynarka od razu zrobiła się ciaśniejsza, przylegała teraz do ciała ściśle niczym kamizelka ratunkowa. Anakonda złożył kopertę i wsunął ją do tylnej kieszeni spodni. Teraz należało pozbyć się teczki, ukryć ją gdzieś, by nikt jej nie znalazł. Na szosie lepiej teraz się nie pokazywać, trzeba przedostać się lasem do innej drogi.

- Ale nie biorę tych pieniędzy na zawsze! - zapowiedział sobie stanowczo Jurij. - Pożyczam je tylko od losu. Kiedyś, jak będę dobrze zarabiał, przeczytam nadruk na kopercie, dowiem się, do kogo pieniądze należą, i zwrócę je. Odniosę do oddziału Narodowego Banku ze słowami: "Przyjmijcie od nieznanego".

Zagłębiał się stopniowo w las, usiłując iść prosto. Wkrótce jednak musiał skrócić, ponieważ zagroziły mu drogę zwoje kolczastego drutu. Pociemniały, jakby obrzękły od rdzy drut zwisał z przegniłych słupów, wił się spiralami wśród trawy. Jurij skrócił i spostrzegł okop, z którego przedpiersia wystrzelały młodziutkie osiny. Na dnie okopu, zarośniętego wysoką trawą, lśniła zimna, przezroczysta woda. "Wrzucę tu tę teczkę - postanowił Anakonda, ale rozmyślił się po chwili: - Nie, znajdę inne miejsce. Tutaj byłoby to jakieś niestosowne". Minał stare okopy, coraz bardziej zagłębiając się w las. Wreszcie wyszedł na podmokłą nizinę, z niewielkimi kępkami zieleni i wątlami, wyrosłymi na błocie brzózkami. Nagle pokazało się jezioro wypełnione rdzawą, torfiastą wodą. Anakonda ruszył błotnistym brzegiem. "Teczka utonie od razu dzięki tej ciężkiej kuli. Tyle przynajmniej będzie z tego świństwa pożytku".

Zamachnął się energicznie i rzucił teczkę do jeziora. Teczka zakreśliła łuk, ciężko uderzyła o wodę i utonęła. Na wodzie rozbiegły się kręgi, z dna wybiegły na powierzchnię bańki, popękały, potem wszystko się uspokoiło. Teraz już nikt o niczym się nie dowie.

## POJAWIA SIĘ KULA

Nie mało nabłakawszy się po moczarach Jurij odnalazł wreszcie leśną dróżkę. Należało przypuszczać, że prowadziła do szosy. Anakonda maszerował spiesźnie, zapadał już zmrok. Było mu zimno, bo na bagnach przemoczył nogi. Buty miał zupełnie zniszczone. "Nie szkodzi - pomyślał - zaraz jutro kupię nowe i w ogóle gruntownie się obsprawie. Przede wszystkim - koniecznie porządny garnitur, potem - magnetofon, potem..." W tym momencie usłyszał za sobą lekki szmer i obejrzał się nie zwalniając kroku.

Dróżką toczyła się za nim kula. Ciemna kula nieco większa od piłki tenisowej.

Jurij stanął. Kula zatrzymała się również, o trzy kroki od niego. Anakonda poczuł się nieswojo. "Jedną taką wrzuciłem do jeziora razem z teczką, tamta zgodnie z prawami fizyki musiała utonąć" - pomyślał, zbliżył się do kuli i schyliwszy się wziął ją do ręki. Była to ta sama kula! Bardzo ciężka i bardzo zimna... Jurij przypomniał sobie, jak sportowcy pchają kulę, zebrał wszystkie siły i odrzucił ją daleko na mech, po czym szybko ruszył dalej. Przed nim był niewielki jar, którym płynął strumyk z przerzuconą nad nim kładką. "Jak najszybciej muszę minąć tę kładkę" - pomyślał Jurij i obejrzał się.

Kula podążała za nim dróżką.

"Jaka uparta! - przemknęło przez głowę Anakondy. - Zupełnie jak Konstany!" (Jurij bawił się kiedyś z Konstany na jednym podwórku. Wszystkie dzieci przedrzeźniały go wówczas: "Kostia, Kostia, Konstany, sam ze sobą graj w fanty!", a on uparcie biegał za nimi, ogolony na zero, z okrągłą głową, nieodstępny, zadziwiająco wytrzymały. Obecnie jest bokserem wagi piórkowej).

Tak, kula niewątpliwie toczyła się po dróżce za Anakondą.

- No, dość tego! - wykrzyknął Jurij podbiegając do kuli. Schwycił ją i stanąwszy na kładce - były to dwa pnie przerzucone przez strumyk wrzucił ją do mętnej wody. Kula utonęła. - To akurat miejsce dla ciebie!

Oddalił się parę kroków i obejrzał. Kula wypłynęła i toczyła się w jego kierunku po powierzchni wody.

Wówczas Anakonda rzucił się do ucieczki. Wbiegając na zbocze jaru obejrzał się ponownie. Konstancja (będziemy tak niekiedy dla odmiany nazywać kulę, by nie znudzić czytelnika częstym powtarzaniem słowa "kula") bez najmniejszego trudu wtaczała się za nim po pochyłości. Anakonda wpadł do lasu i zaczął kluczyć między drzewami, żeby zmylić ślady, ale wkrótce spostrzegł, że Konstancja płynie teraz w powietrzu na poziomie jego głowy. Przemieszczała się w przestrzeni wybierając najkrótsze proste w prześwitach między drzewami, jej ruchy niczym nie przypominały lotu - były to raczej bezszelestne skoki w poziomie. Nie kiedy zmieniała kierunek pod kątem prostym, działając na przekór zasadzie bezwładności. Ani razu nie zaczęła żadnej gałązki zdrowego drzewa, ale kiedy zagroziła jej drogę uschnięta sosna, nie zwalniając ruchu bezgłośnie przemknęła przez jej pień pozostawiając w nim dokładnie okrągły otwór.

Jurij wybiegł na polankę, na której dogasało ognisko. Najprawdopodobniej odpoczywali tu, już po ulewie, myśliwi z miasta, ci odważni rycerze walczący z żywą bezbronną zwierzyną. Anakonda przysiadł na pieńku, aby odsapnąć. Konstancja zamarała w powietrzu o trzy kroki od niego; wisiała nad ziemią bez ruchu, jakby spoczywając na niewidocznym kryształowym słupie.

Anakondzie przyszła do głowy pewna myśl. Poszedł do lasu nazbierać chrustu. Kula, nie zniżając się, powędrowała za nim. Uzbierawszy sporą wiązkę chrustu Jurij rzucił ją w ognisko, które zapłonęło wysokim płomieniem. Wówczas podszedłszy do wiszącej w powietrzu kuli Anakonda pchnął ją ręką, by wpadła w ogień. Ale Konstancja stawiała opór i chociaż Jurij pchał ją ze wszystkich sił, kula wisiała niewzruszenie, jakby na wieki wtopiona

w przestrzeń. Widząc bezowocność swych wysiłków Anakonda ponownie przysiadł na pieńku z udręką wpatrując się w ziemię. I kula nagle, jakby zgadując, czego od niej chce, opuściła się i dobrowolnie wtoczyła w ognisko, w sam środek, pod płonące gałęzie.

- Dobrze ci tak! - powiedział z ulgą Anakonda. Zapaliwszy papierosa wyciągnął ku ognisku nogi. Jego mokre buty zaczęły parować, stopom zrobiło się ciepło. Dokoła panowała cisza, ptaki ułożyły się już do snu. Od lasu wypełzał na polanę błękitnawy zmrok mieszając się z dymem ogniska. "Pewnie cała aparatura kuli uległa już w ogniu zniszczeniu, niedługo można będzie iść - rozmyślał Jurij. - Swoją drogą, do czego już doszła współczesna technika, skoro skonstruowano taka kulę. Jakieś mądre głowy ją wymyśliły. Ale nie do końca: sama, głupia, wtoczyła się w ogień... No, w drogę. Trzeba tylko zgasić ognisko. Zaraz przysypię je ziemią". Anakonda wstał, zrobił dwa kroki. I wówczas płonący w ognisku chrust poruszył się, a z płomieni wypląnęła Konstancja zawisając nad pomarańczowymi językami ognia. Jurij pośliniwszy palce ostrożnie dotknął kuli. Była tak samo zimna, jak przed ognistą kąpielą! "Czy ja aby nie zwariowałem? po myślał Anakonda. - Ale skąd by mi się to wzięło? Przecież nigdy nie zajmowałem się żadnymi kulami. I w ogóle nigdy nie interesowałem się niczym kulistym. Nawet za jabłkami czy arbusami nie przepadam. A jak jeszcze w szkole przerabialiśmy globus, nauczyciel wlepił mi dwójcę. W piłkę nożną ani w siatkówkę także nie gram. Wprawdzie używam pióra kulkowego, ale przecież wszyscy nimi piszą..."

Jego rozmyślenia przerwał jasnożółty promień światła, który wytrysnął z kuli niczym strumień wody ze strażackiej sikawki - tyle, że stało się to w zupełnej ciszy. Kula skierowała promień na ognisko, które natychmiast zgasło i poczerniało. Nie zostało w nim ani odrobiny żaru. W tym samym momencie zgasł jasnożółty promień i chociaż był właściwie czas białych nocy, w lesie od razu zrobiło się mroczno. Anakonda stał niezdecydowany pośrodku polanki, nie wiedząc, w którą stronę pójść.

Nagle kula zatrzepotała w powietrzu, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę. Wybiegł z niej skierowany w dół stożek błękitnawego światła. Konstancja płynnie ruszyła przed siebie i Jurij poszedł za nią. Trawa i mech, które musnęło światło, nie od razu pograżały się w mroku, świeciły jeszcze jakiś czas po przepłynięciu nad nimi kuli. Anakonda szedł jakby po fosforyzującej dróżce, która powoli gasła za jego plecami. "Kula śledzi mnie, ale również mi pomaga - rozważał. - Wzięła mnie jakby pod swoją opiekę... Ale może to właśnie jest najgorsze?"

Konstancja wyprowadziła go na szosę i natychmiast zgasła. Po prawej, za wydmami, szumiało morze, przy szosie widać było niewielką budkę - przystanek autobusowy - przy której stało parę osób.

"Skoro ani rusz nie mogę się od niej uwolnić, muszę ją schować, żeby nikt jej nie widział" - pomyślał Jurij. Zdjął beret i podszedł do kuli, która ułożyła się w nim bez oporu. Niełatwo było ją nieść, ze względu na niezwykle ciężar.

"Jeśli mnie ktoś spyta, co tu niosę, powiem, że wyjątkowo interesujący kamień".

A gdyby poproszono, żebym go pokazał?.

Ale żaden z pasażerów o nic nie spytał.

## W ŚWIECIE PIĘKNA

Anakonda dotarł na swoje szóste piętro już po północy. Z racji późnej pory drzwi były zamknięte na łańcuch i musiał pukać. Otworzył Wawilon Wiktorowicz, lokator najpóźniej chodzący spać. Wawik (tak nazywali go między sobą współmieszkańcy) miał na sobie błękitną plażową piżamę, a jego pierś zdobiła ogromna marynarska lornetka wisząca na rzemyku z lakierowanej skóry.

- Co to? - spytał zaciekawiony Anakondę, spojrzawszy na beret. Złapał pan jeża?

- Nie, to nie jeż... Takie tam głupstewko... - wymamrotał zmieszany Jurij.

Ale Wawik zapomniał już, o co pytał. Szybko ruszył do drzwi swego pokoju, znajdującego się obok pokoju Anakondy.

- Angelina zmieniała fryzurę - rzucił zaafierowany nie zwalniając kroku. - Może pan wstąpi? Pożyczę Zeissa na trzy minutki.

- Wawilonie Wiktorowiczu! Wie pan dobrze, że podglądanie dziewcząt uważam za niemoralne! - oświadczył z naganą w głosie Anakonda, wkładając klucz do zamka.

- Przecież ich nie dotykam! - rozległ się już za drzwiami głos Wawika. - Niech mi pan nie utrudnia życia!

Jurij wszedł do swego pokoju i położył na krześle beret z Konstancją. Potem włączył światło i zamknął drzwi na zasuwkę. Należało schować gdzieś pieniądze. Dziesięciometrowy pokój nie obfitował w tajemne schowki Jurij dysponował metalowym łóżkiem, staroświecką etażerką, żółtą malowaną szafą, dwoma krzesłami i supernowoczesnym biurkiem. Wszystko poza biurkiem Anakonda dostał w spadku po ciotce, która go wychowywała i która umarła w ubiegłym roku. Rodziców Jurij nie pamiętał.

“Na razie schowam pieniądze pod poduszkę - zdecydował i przeliczywszy paczki banknotów wsunął je między materac i siatkę. - Aż strach pomyśleć, jaki jestem bogaty... I najważniejsze, że nikt o tym nie wie...”

Obejrzał się słysząc, że coś niezbyt głośno upadło. Z krzesła spadł beret. Kula wisiała w powietrzu o trzy kroki od niego, na wysokości jego oczu.

“Pieniądze pieniędzmi, a ten bezpłatny dodatek wcale nie budzi mojego zachwytu - przemknęło mu przez myśl. - Ale na zdrowy rozum biorąc, jest nieszkodliwy. Byleby tylko nikt poza mną go nie widział”.

Kula bezdźwięcznie wisiała pośrodku pokoju. W mieszkaniu wszyscy spali, jedynie przez ścianę słychać było głos Wawika.

Dawniej tylko Papuasi znali shimmy,  
Dziki to byt wtedy taniec i bezwstydnym,  
A dziś z nimi tańczy shimmy cały świat!

Często śpiewał tę piosenkę w przypiływach dobrego humoru.

Wawilon Wiktorowicz był początkującym emerytem, wkraczał w sześćdziesiąty drugi rok życia. Do wspólnego mieszkania wprowadził się półtora roku temu w wyniku zamiany. Nie pił, nie grał w domino, ale miał inne dziwne hobby. Wieczorami, zgasiwszy w swoim pokoju światło, godzinami przesiadywał przy oknie z lornetką. Przed domem rozciągał się duży kwadratowy skwer, a za nim wznosił się wysoki, sześciopiętrowy budynek. Na dwu najwyższych piętrach (po czternaście okien na każdym z nich) mieszkały studentki technikum sanitarno-ekonomicznego. Przekonane o swej wizualnej nietykalności rzadko zaciągały story i Wawilon Wiktorowicz za pomocą optyki mógł obserwować ich życie. Każdą z dziewcząt od dawna znał i dla każdej wybrał odpowiednie dźwięczne imię. W skromnych, czterołóżkowych pokojach mieszkały zatem Odetty, Habanery, Traviaty i Aidy. Sąsiedzi ze wspólnego



mieszkania domyślali się wieczornych obserwacji Wawika i potępiali je zdecydowanie. Ale było to zajęcie, którego trudno dowieść i właściwie nie podlegające karze. Kiedy w rozmowach z Wawilonem Wiktorowiczem ktoś robił aluzję, że jego postępowanie jest niezupełnie właściwe, słyszał w odpowiedzi:

- Nie dysponuję środkami na kupno telewizora i ten dom naprzeciwko - to mój telewizor z dwudziestoma ośmioma ekranami. Nie robię dziewczętom nic złego! Nawet nie patrzę na nie, kiedy są w negliżu, uczciwie się wówczas odwracam! Kocham je po ojcowsku, optycznie i platonicznie!

Sąsiedzi nie bardzo jakoś wierzyli w tę jego powściągliwość, ale Wawik mówił szczerą prawdę. Co prawda odwracać się od rozebranych dziewcząt zaczął niezbyt dawno, dopiero kiedy w czasopiśmie "Medycyna dla wszystkich" przeczytał artykuł o szkodliwym wpływie spódniczek mini na stan układu krążenia starszych panów.

Jurij poczuł nagle głód. Nic dziwnego, tyle czasu spędził w lesie niczego nie jedząc! Wziął czajnik z parapetu i ruszył do kuchni. Kula popłynęła za nim, musiał przepuścić ją przez drzwi. Na palcach przemknął korytarzem, wszedł do kuchni, zapalił gaz. Kula była tuż, nie rozstawała się z nim ani na chwilę. W jej towarzystwie Anakonda odwiedził łazienkę, umył się, a potem wrócił do kuchni. Czajnik już szumiał.

Nagle z korytarza dobiegły ciche kroki. Widocznie Wawilon Wiktorowicz porzucił swój punkt obserwacyjny zdecydowawszy się coś przekąsić. Zaraz tu wejdzie i spostrzeże Konstancję!... Co robić?! Jurij otworzył drzwiczki piecyka gazowego i wepchnął kulę do środka. Czas był najwyższy - Wawik wkroczył do kuchni.

- Pan też postanowił napić się herbatki? - spytał zapalając gaz. - I na pewno nie zdążył pan kupić pieczywa... Chodźmy do mnie, pożyczę panu jak asystent asystentowi - w ustach Wawilona Wiktorowicza ten zwrot był wyrazem najwyższej i najszlachetniejszej formy stosunków międzyludzkich.

Wyszedł z kuchni, a Jurij za nim. W pokoju Wawilona Wiktorowicza pachniało fajkowym dymem i dobrym toaletowym mydłem. Okno było otwarte. W dole, na skwerze, stały w milczeniu drzewa, pobłyskując wiosennym listowiem. W dali, nad drzewami, za skwerem, widniały okna studentek. Prawie we wszystkich było już ciemno.

- Proszę, niech pan bierze barową - powiedział Wawik. - Ze mną pan nie zginie... A cóż to takiego? Coś podobnego! Pańska?

W odległości trzech kroków od Jurija wisiała w powietrzu Konstancja.

- Tak, moja...

Wawilon Wiktorowicz wziął kulę do ręki. Nie stawiała oporu. Potem puścił ją i Konstancja zawisła w poprzedniej pozycji.

- Jaka ciężka i zimna! - powiedział Wawik. - W dodatku nie spada... Jakież oszałamiające postępy robi postęp. Pociągi elektryczne, tkaniny z włókien syntetycznych, rozbicie atomu, tranzystory... Tę kulkę nabył pan może w domu towarowym?

- Nie. Dostałem ją... Proszę pana, by...

Ale Wawilon Wiktorowicz już nie słuchał. Widząc, że w jednym z okien naprzeciwko zapłonęło światło, rzucił się do stojącej lampy, zgasił ją i z lornetką przy oczach stanął w oknie, bystro wpatrując się w dal niczym kapitan statku na swym mostku.

- Adelaida wreszcie zjawiła się w domu - zakomunikował. - Widocznie dopiero teraz, tak późno, wróciła z randki. Och, ciężkie mam z wami życie, dziewczyny, ubolewam nad waszym poziomem moralnym!... A Leoncavalla wciąż siedzi przy oknie i czyta...

- Był kompozytor Leoncavallo, a takiego żeńskiego imienia nie ma - nieśmiało zauważył Jurij.

- Właśnie że jest! W świecie piękna rządzą inne prawdy - zaprotestował Wawik. - Niech pan spojrzy, niech pan tylko na nią spojrzy! - podał Anakondzie lornetkę.

Jurij, bojąc się rozgniewać Wawilona Wiktorowicza, jako że obecnie był nieco od niego zależny, podniósł lornetkę do oczu. Tam, daleko, a zarazem bardzo blisko, przy stoliczku koło okna siedziała jasnowłosa dziewczyna w niebieskiej bluzeczce. Soczewki przydały jej twarzy delikatną tęczową obwódkę niby aureole. Dziewczyna czytała coś z wyrazem skupienia.

- Miła dziewczyna powiedział Anakonda. - Bardzo sympatyczna.

- No przecież mówię: prawdziwa Leoncavalla - przytaknął Wawik. - Perła akademika! Prowadzi się bez zarzutu. Inne włączają się po prywatkach, a ona wciąż czyta. Czyta takie małe książeczki.

- Może wiersze?

- Nie wiem. Lornetka nie pozwala dostrzec tekstu. Dawno już marzę o lepszym wyposażeniu technicznym... Pewien facet sprzedaje peryskop. Trofeum z niemieckiej łodzi podwodnej. Ale cóż, nieświeżnie wyglądam ze środkami materialnymi... A czajnik na pewno już kipi!

- Wawilonie Wiktorowiczu, mam do pana małą prośbę - pospiesznie wtrącił Jurij. - Bardzo proszę, niech pan nikomu nie wspomina o tej kuli.

- O kuli? Będę milczał jak ryba albo nawet jak grób. Ale pan też niech się zdobędzie na szlachetny gest. Proszę mi pożyczyć na ten peryskop. Potrzeba osiemdziesiąt pięć dublonów, jak mówili starożytni Grecy.

- Dobrze - odparł Jurij. - Pożyczę. Wawilon Wiktorowicz ruszył do drzwi, za nim Jurij konwojowany przez Konstancję. Nagle Wawik zawołał zdumiony:

- Cóż to znowu?" Dziura w drzwiach! Chciałbym wiedzieć, kto sobie na to pozwolił! Rzeczywiście, w drzwiach widniał idealnie okrągły otwór, z równiutkimi brzegami. Na podłodze - ani śladu strużyn, trocin lub jakichkolwiek innych odpadków.

- To kula zrobiła tę dziurę - z drzeniem w głosie wyjaśnił Jurij. - Kiedy weszliśmy, zamknęliśmy natychmiast drzwi, a ona wszędzie lata za mną.

- W porządku, jutro rano załatam dziurę dyktą. Nikt jej nie zauważy... A te piastry", jak powiadali starożytni Rzymianie, będzie mi pan mógł dać dzisiaj?

- Tak.

W kuchni wyszedł na jaw jeszcze jeden wybryk Konstancji: w drzwiczkach piecyka również ział otwór. Konstancja z łatwością przeniknęła przez podwójną żelazną blachę, z jakiej były zrobione. Brzegi otworu były idealnie równe, bez zadr i odgięć.

- Pańska kulka niezgorzej sobie radzi - skomentował Wawilon Wiktorowicz. - Niech pan się nie martwi, mam znajomego, który te drzwiczki wymieni... Nawiasem mówiąc ma on do sprzedania fotel dentystyczny, dawno już o takim marzę. I chce za niego zaledwie sześćdziesiąt pięć...

- Ale na co panu ten fotel? - szczerze zdziwił się Jurij. - Przecież nie jest pan stomatologiem.

- To prawda - przytaknął ochoczo Wawik. - Ale fotel dentystyczny ma niezwykle wygodne poręcze, a poza tym można dowolnie ustawiać nachylenie głowy, żeby nie przemęczać karku. Siedząc na takim fotelu ma się dogodną pozycję do obserwacji. Będę mniej wychodził ze swego pokoju, a to z kolei zmniejszy możliwość wygadania się przypadkiem o pańskiej kulce.

## CZOŁOWY ODDAWCA BUTELEK

Kiedy Jurij znalazł się wreszcie w łóżku, w jednej chwili został obywatelem niepodległego państwa snów, gdzie nie było żadnych pieniędzy ani Konstancyj. Taki był zmęczony wydarzeniami poprzedniego dnia, że obudził się dopiero po południu. Trzy kroki od poduszki, na wysokości oczu wisiała ciemna kula.

“A pieniądze?! - zaniepokoił się Jurij.- Może mi się przyśniły. Może kula jest, a pieniędzy nie ma?!” - Wyskoczył z łóżka, uniósł materac. Paczki banknotów leżały w idealnym porządku. Jedna była trochę cieńsza od pozostałych, z tej właśnie Jurij wyjął piętnaście dziesiątek dla Wawika.

Przed pójściem do piekarni zawinął kulę w gazetę i włożył ją do siatki. Konstancja nie stawiała oporu. “Wcale nie jest źle - pomyślał Jurij. - Ona po prostu musi być cały czas przy mnie, a w jakim opakowaniu i pozycji, jest jej obojętne. Nie jest ogarnięta żądzą autoreklamy. Cóż, na noc będę ją wypuszczał, a w ciągu dnia nosił ze sobą i tyle. Wprawdzie ma swoją wagę, ale na to już nie ma rady”.

Mijając drzwi Wawika Anakonda nie bez zadowolenia spostrzegł, że otwór załatany jest starannie dyktą, a dykta zamalowana na biało. Kiedy zaś wszedł do kuchni, od razu obrzucił spojrzeniem drzwiczki piecyka gazowego. Były nowe, bez dziury. Wawilon Wiktorowicz dotrzymał słowa. “Jednak nie jest pozbawiony sumienia - pomyślał Anakonda. - Wprawdzie drogiego sumienia, kosztowało mnie ono 150 rubli 00 kopiejek, ale lepsze takie niż żadne”. Wreszcie po zjedzeniu śniadania i starannym zamknięciu drzwi własnego pokoju Jurij wyruszył do domu towarowego po sprawunki. Kiedy podjeżdżał tam taksówką, przemknęła mu przez głowę myśl, że dobrze byłoby po uregulowaniu rachunku szybko zatrzasnąć za sobą drzwiczki samochodu, a siatkę z kulą zostawić na siedzeniu, natychmiast jednak odepchnął od siebie tę pokusę, Konstancja nie znała się na żartach, jeszcze przebiję karoserię Wołgi i będzie skandal. Lepiej jej nie drażnić.

Po wejściu do domu towarowego Anakonda przede wszystkim kupił torbę - skrzyżowanie plecaka z siatką na sprawunki, które można nosić zarówno w rękach, jak i na plecach. Włożywszy siatkę z Konstancją do swej praktycznej torby Jurij zabrał się do gromadzenia dalszych nabytków. Nigdy dotąd nie dysponował większymi sumami i dlatego postanowił najpierw powprawiać się nieco w tańszych drobiazgach, a dopiero potem przystąpić do drogich sprawunków. Żeby nabrać rozpędu, nabył spodeczek, metalową papierośnicę z widoczkim Twierdzy Pietropawłowskiej, plastikowego pingwina, skarpetki, łyżkę do butów, szklaną cukiernicę, latarkę elektryczną, gazową zapalniczkę, wieczny kalendarz, porcelanowego lisa i termometr na biurko. Potem zaczął drugie okrażenie: kupił solidne półbuty za 35 r., cztery koszule, sweterek w prezencie dla Kiry (45 r.), sweter dla siebie za 37 r., garnitur za 178 r. i aparat fotograficzny “Kijew”. “Na dzisiaj starczy - doszedł do wniosku. - Jutro będę kontynuował to rozkoszne zajęcie, teraz wstąpię przegryźć coś na Newskim, a później zajrzę do domu”.

Obładowany sprawunkami Anakonda wyszedł na ulicę. Wkrótce siedząc przy stoliku z przyjemnością zjadał kanapkę z kiełbasą popijając kawą. Nagle nad samym jego uchem ktoś wyrecytował przepitym, ale donośnym głosem:

Pozdrowione bądź, natury dziecię,  
Niepodległe tyranii czasu!  
I na krawędzi dwóch światów  
Wcinaj kanapki z kiełbasą!

Jurij drgnął i podniósł wzrok. Przed nim stał młody mężczyzna z obrzękłą twarzą. W ręce miał siatkę szczelnie wypełnioną butelkami po winie.

- Zadzierasz nosa, Jurka, nie poznajesz szkolnego kolegi! - wykrzyknął nieznajomy i wrócił do mowy związanej:

Jam - czołowym butelek oddawcą,  
I poetą - wciąż niespełnionym!  
Po główce mnie pogładź, łaskawco,  
Dla małżonki i dzieci ukłony!

Anakonda nie zamierzał kłaść mu dłoni na głowie. Rozpoznał w młodym mężczyźnie kolegę z klasy, Tolka Drewiesnego. Tolek w czasach szkolnych sławny był jako początkujący poeta. Systematycznie zamieszczał swe utwory w gazecie ściennej, brał udział w turniejach poetyckich; pokładano w nim wielkie nadzieje. Od czasu balu maturalnego Jurij nie spotykał go ani osobiście, ani na łamach prasy, a teraz Drewiesnyj wyłonił się z niebytu w najbardziej nieoczekiwanym kształcie i najmniej odpowiednim momencie.

- Czołem, Tolek! - powiedział Jurij nadając swej twarzy wyraz zainteresowania. - Co słychać? Gdzie pracujesz?

W odpowiedzi Drewiesnyj grzmiącym głosem zadeklamował:

W monopolu etat miałem,  
Jak sen złoty płynął czas,  
Ale odkąd mnie wylali,  
Żar natchnienia w piersi zgasł.

W proch rozpadły się nadzieje!  
Nie chcę próżnych słów ni łez,  
3 ruble 7 kopiejek  
Możesz dać mi, skoro chcesz.

Siedzący przy sąsiednich stolikach zaczęli zwracać na nich uwagę. "Żeby tylko nie wdepnął w jakąś aferę - zaniepokoił się Jurij. - Jeszcze zwinie nas milicja i przy okazji znajdzie kulę". Nie patrząc wyjął z kieszeni pierwszy lepszy banknot - była to pięciorublowka - i wręczył go Drewiesnemu, z nadwyżką spełniając jego prośby wyrażone językiem poezji.

- O, dzięki ci, przyjacielu drogi! - wykrztusił Drewiesnyj. - Będę miał na jutrzejszego klina, bo przecież dziś czeka mnie niewąska popijawa z tobą z okazji naszego jakże długo oczekiwanego spotkania. Zaraz wskoczmy do "Gastronomu", a stamtąd prosto do mnie. Zapoznam cię z Tusią.

Anioł niebieski i uroczy  
W błękitach był prymusem,  
Miał 2 moralności i z wszystkiego  
Wyłącznie piątki z plusem.

Ów anioł przybrał kształt realny -  
Jest teraz moją żoną,  
Jakże szczęśli...

- Tolek, chodźmy stąd! - powiedział Anakonda, sięgając pospiesznie po torbę z Konstancją i paczkami ze sprawunkami.

Drewiesnyj ruszył za nim recytując w rytm kroków:

Do sklepiku zapukamy,  
O truciznę zapytamy,  
Co tam 10 butelczynach stoi  
I zbolełe serce koi.

Kiedy weszli do "Gastronomu", Drewiesnyj wepchnął Jurija do kolejki przed kasą, a sam energicznie pracując łokciami runął do działu win i wódek. Stanąwszy przed ladą zawołał do Anakondy:

Szczęście blisko! Szczęście blisko!  
Widzę "Pliskę" na stoisku!  
Jeśliś prawym przyjacielem,  
Nie wychodź bez trzech butelek.

Napoje i zakąski wkrótce były kupione i szkolni koledzy ruszyli do Drewiesnego. Ten wstąpił jeszcze po drodze do punktu skupu butelek i zrealizował transakcję, której przedmiotem była zawartość jego siatki. Stąd było już niedaleko. Przed drzwiami pechowy poeta oddał butelki z koniakiem Anakondzie, mimo że Jurij i tak był już objuczony jak wielbłąd.

Drzwi otworzyła kobieta potężnych rozmiarów.

- Tusieńko, to jest Jurik, mój kolega ze szkoły - wyjaśnił przymilnie Drewiesnyj. - Przyczepił się do mnie, że koniecznie, koniecznie musi ze mną wypić, że chce mi postawić z okazji swych urodzin, więc go zaprosiłem... Trudno człowieka przepędzać...

- Czasem trzeba przepędzać ucięta nieprzyjaźnie Tusia. - Właśnie przez takich "szkolnych kolegów" wyrzucili cię z pracy.

- On nie zostanie długo - zapewnił Drewiesnyj. Wypije i pójdzie sobie.

Kiedy usiedli do stołu i zabrali się do rzeczy, Tusia natychmiast zaczęła Anakondzie gorliwie dolewać. Wkrótce zrobiło mu się niedobrze.

- Jakoś niewyraźnie się czuję, zaprowadź mnie w pewne miejsce - poprosił Drewiesnego, sięgając po stojącą u jego nóg torbę z Konstancją.

- A po co to ciągnąć za sobą "w pewne miejsce"? - spytał Drewiesnyj i roześmiał się ordynarnie. Był też porządnie pijany.

Twój gość nam nie ufa - oświadczyła Tusia. - Myśli, że trafił do rzezimieszków. A może sam jest rzezimieszkiem? Któż to właściwie taki?!

To Jurik, a nazwiska zapomniałem - powiedział Drewiesnyj. - Hej, ty, jak się nazywasz?

- Lesowałow - płaczącym się językiem odparł Jurij. - Ale w ogóle to jestem Anakonda. Wężę anakondy żyją w Amazonce, poszczególne pseudonimy osiągają głębokość szesnastu metrów... To jest mój literacki egzemplarz!

- Wprowadziłeś węża do naszego uczciwego domu! - powiedziała gniewnie Tusia do Drewiesnego. Ona również była już na gazie. Ten gad przypełznął tutaj, żeby się upijać!

Drewiesnyj tępo przyjrzał się Jurijowi i wymamrotał:

Tu nie wślizgnie się padalec,  
Ani wąż czy żmija!  
Z monopolu cię nasłali,  
Żebyś mnie rozpijał!

- Sam mnie tu przy włokłeś! Wcale nie chciałem przyjść! - oburzył się Jurij.

- Toleczku, sprowadziłeś jakiegoś chuligana, całkiem pozbawionego delikatności! -  
wykrzyknęła Tusia.

Tolek natychmiast wyrecytował basem:

Zawsze bądź uprzejmy! W kinie  
I w delikatesach,  
U mamusi, przy dziewczynie,  
W trosce i w sukcesach.

W uprzejmości człowieczeństwo  
Twoje się wyraża,  
Nawet jeśliś wypił nieco -  
Ludzi nie obrażaj!

- Taki będzie strzegł nakazów uprzejmości, akurat! - krzyknęła Tusia. - Wprosił się z wizytą i  
natychmiast chce iść do toalety! "Takich należy tępić!

- Jazda stąd, ale już! - wrzasnął Drewiesnyj, i natychmiast dodał uroczyście:

Szczerłość i trzeźwość to podstawy  
Szczęścia naszego stadła!  
Nie odpowiada? Dość zabawy  
I wynoś się do diabła!

## KONSTANCJA DZIAŁA

Następnego dnia Anakonda obudził się z ciężką głową i mdłościami. Na podłodze poniewierały się zmięte, obdarte, poszarpane paczki z zakupami. Kula wisiała w powietrzu trzy kroki od łóżka. Jurij przewrócił się na drugi bok i usiłował ponownie zasnąć, ale ogarnęła go taka chandra, że nic z tego nie wyszło. Życie wydawało mu się nonsensowne i daremne. Uprzytomnił sobie, że do tej pory nie wykonał polecenia redakcji. Jurij odczuwał absolutny brak sił twórczych. Potem przypomniało mu się wczorajsze idiotyczne pijaństwo i jak wyrzucił go z domu ten pleciuga Drewiesnyj. A w ociężałej głowie huczały świdry pneumatyczne, jazgotały tarczowe piły, łaskotały skrzynie pełne pustych butelek. “Dobrze byłoby zasnąć i nie obudzić się więcej - rozmyślał ponuro Anakonda. - Żeby nie było bólu głowy ani kuli, ani nawet mnie osobiście”.

Pokój rozświetlił się na moment różowym błyskiem. Konstancja podpłynęła w powietrzu do Anakondy i zastygła w odległości osiemdziesięciu centymetrów od jego twarzy. Na powierzchni kuli ukazała się niewielka wypukłość, która wydłużyła się w kierunku Jurija, przekształcając się w sprężystą spiralę. Na końcu spiralki pojawiła się nieduża platforma, a z niej wyrosła maleńka przezroczysta menzurka, wypełniona płynem z błękitnawym połyskiem. - Chcesz mnie otruć! - powiedział Anakonda. - No i dobrze, truj, z pewnością na to zasłużyłem! - Wziął menzurkę, jednym haustem wypił gorzkawy płyn i odrzucił naczynko. Platformka szarpnęła się na spiralcę, chwyciła menzurkę - i wszystko zniknęło w kuli. Jej powierzchnia znów była idealnie gładka. A Jurij zaczął oczekiwać smutnego końca. Ale płyn wywarł odmienny skutek. Ból głowy ucichł, rozplynęła się chandra. Anakonda zasnął, a po godzinie obudził się rześki i zdrowy. Postanowił natychmiast zabrać się do pracy. Usiadł przy biurku i zaczął pisać reportaż, który wkrótce był gotowy. Zaczynał się tak:

### Szlachetny znalazca

Przyjął mnie szlachetny znalazca N. I. Lesowałow w swojej skromnej, lecz przytulnej podmiejskiej siedzibie. Cały wysoki ton życia szlachetnego znalazcy predysponuje go do rozległej znalazczej działalności. Kiedy go odwiedziłem, ten wybitny znalazca pił na werandzie żołądziową kawę. Z adaptera płynęła melodyjna skrzypcowa rapsodia. Z magnetofonu dobiegała liryczna fortepianowa melodia.

- Lubię ten zdrowy napój - zwierzył mi się mrużąc serdecznie oczy czcigodny znalazca, - Ze szczególną przyjemnością pije się go pod liryczną, ze smuteczkiem, muzykę Bacha, Rimskiego-Korsakowa i innych wybitnych kompozytorów. Od czasów bosonogiego dzieciństwa miałem, dwa “hobby”: muzykę i zwracanie tego, co znalazłem. Lubiłem wręczać ludziom zgubione przez nich monety, przedmioty i środki żywnościowe...

“Reportaż ma jedenaście stron rękopisu - zauważył Jurij. - Czyli na maszynie będzie tego z dziesięć stron, w sam raz. W najbliższych dniach kupię sobie maszynę, chwalić Boga pieniądze mam. Dobrze byłoby jednak przepisać ten materiał dzisiaj...” Anakonda żartobliwie zwrócił się do kuli:

- Ech, Konstancjo, mogłabyś mi pomóc. Wisisz tylko w powietrzu i nic nie robisz.

Konstancja mrugnęła bladofioletowym światełkiem. Z kuli wysunęło się kilka sworzni. Opadły na stół, zaczęły powiększać się, przeplatać, tworząc skomplikowany mechanizm. Już po czternastu sekundach jeden z wyrostków trzymał w ciemnych plastikowych zaciskach kartkę rękopisu. Szczytując tekst wiersz po wierszu ślizgał się cieniutki błękitnawy promień. Po czystej kartce podtrzymywanej przez system jakichś listewek i sprężynek, bezgłośnie przesuwał się maleńki cylinder, pozostawiając za sobą wyraźny tekst maszynopisu. Po trzech minutach i czterdziestu siedmiu sekundach rękopis był przepisany w trzech egzemplarzach,

po czym cały mechanizm zaczął się rozplýwać, zmniejszać. Kula, wciagnąwszy w siebie sworznie i wyrostki, znów stała się idealnie gładka. Anakonda starannie czytał swój tekst z maszynopisem. Ani jednego błędu. Konstancja w dwóch miejscach nawet wprowadziła poprawki. To, że kula mogła robić korektę, nieprzyjemnie zaskoczyło Anakondę. Następnego ranka Jurij pojechał do redakcji. Niestety reportaż nie wzbudził entuzjazmu. Sawiejkow oświadczył:

- Brzmi nieprawdziwie, przesłodzone. Jakoś to panu nie wychodzi. Stary też się nie udał. Ma w sobie coś ciepłego, ale jest mało wyrazisty. Niech pan spróbuje nieco go odsłodzić i nieco ożywić. Niektóre miejsca zakreśliłem.

Odebrawszy pokreślony przez Sawiejkowa maszynopis Jurij ponuro powlókł się do domu - ożywiać nieco starego. Tylko nie miał pojęcia, jak to zrobić. Czuł, że nie potrafi napisać lepiej. Z rozpaczyny poszedł do domu towarowego, kupił kilka nylonowych koszul, potem zamyślił się głęboko i nabył jeszcze świecznik produkcji estońskiej i porcelanowego harmonistę.

Ponieważ sprawunki miały niewielkie rozmiary i zmieściły się w torbie, Anakonda zrezygnował tym razem z taksówki i do domu postanowił pojechać trolejbusem. Trolejbus był pustawy i Jurij znalazł sobie miejsce przy oknie. Nie przejechał jednak nawet kilku przystanków, kiedy z torby dobiegło go głośnie pomiaukiwanie. "Ki diabeł! - zdziwił się Anakonda.

W żaden sposób nie mógł tam wleźć kot. To nic innego tylko nowy numerek Konstancji". Tymczasem miauczenie stawało się coraz głośniejsze i coraz bardziej żałosne.

- Oburzające! - zwróciła się do Anakondy kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia. - Jeśli już ma pan kota, to po co go męczyć. Przydusił go pan swoimi sprawunkami! Nie ma czym oddychać w pańskiej torbie.

- Pani wybaczy, ale ja nie mam żadnego kota - zaproponował uprzejmie Anakonda.

- Głusi jesteśmy czy co! Łże i nawet się nie zarumienił - rozległy się oburzone głosy

- Ukradł gdzieś rasowego kota i dlatego go ukrywa. Poznają po głosie, że to angora - oświadczył sędziwy obywatel-ko-toznawca.

- Trzeba go zaprowadzić na milicję! - powiedział ktoś. - Już tam dojdą, gdzie jest pies pogrzebany!

Anakonda chwycił torbę i pospiesznie skierował się do wyjścia. Wysiadł na pięć przystanków przed domem. Ledwie stanął na asfalcie, kiedy miauczenie ucichło, ale stracił już ochotę na dalszą jazdę. Szedł i rozmyślał o dziwactwach Konstancji.

Zbliżając się do swojej ulicy spostrzegł tłum gapiów. Syci wrażeń zaczynali się już rozchodzić. Trolejbus, ten sam - Jurij zapamiętał jego boczny numer - stał przechylony mocno na bok. Na prawym boku widoczny był ślad silnego uderzenia. W miejscu okna ział pusty otwór. Było to okno, przy którym niedawno siedział Jurij.

- Chciał wyminąć ciężarówkę - wyjaśniła Anakondzie jakaś kobieta. - Wszyscy pasażerowie żyją, skończyło się na strachu i potłuczeniach. Całe szczęście, że przy tym oknie nikt nie siedział - ładnie by wyglądał!

Jurij zrozumiał, że Konstancja uratowała mu życie. Kiedy jednak odpłynęła fala radości, zrobiło mu się niewyraźnie - jeśli Konstancja mogła ocalić, to równie dobrze mogła go zgubić.



## ZERWANIE Z KIRĄ

W domu Anakonda znalazł depeszę: "Przyleciałam Krymu czekam jutro letnisku Kira". Treść depeszy była zarazem radosna i niepokojąca. Wracając poprzednim razem Kira przysłała telegram, żeby Jurij powitał ją na lotnisku. Może obecnie ktoś jej towarzyszył w samolocie? Anakonda poznał Kirę dwa lata temu na studenckim wieczorku. Dziewczyna bardzo mu się spodobała. Zaczęli chodzić razem do kina, do teatru i na plażę. Dotąd jednak nie padło słowo miłość. Kira była dziewczyną samodzielną, z charakterem i nieskorą do zawierania znajomości. Skończyła niedawno uniwersytet i pracowała jako laborantka w pewnym instytucie naukowym. Jej ojciec był znanym profesorem galwanoterapii, rodzina miała domek za miastem i samochód. Oddając sprawiedliwość Anakondzie należy stwierdzić, że kiedy zawierał znajomość z Kira, nie wiedział ani o pozycji jej ojca, ani o "Wołdze", ani o domku. Przeciwnie, był zażenowany dowiedziawszy się o wysokiej stopie życiowej dziewczyny. Częściowo z tego właśnie powodu nie szukał po ukończeniu uczelni pracy w swojej specjalności, lecz urządził się w redakcji. Chciał zostać wybitnym dziennikarzem i w ten sposób udowodnić Kirze, że i on jest nie byle kim. Niestety jednak dziennikarstwo mu nie szło. Już trzy miesiące pracował w redakcji, ale wszystkie materiały mu odrzucano. Jego ostatnią nadzieją był reportaż o szlachetnym znalazcy.

Jurij zmusił się, by usiąść przy biurku; zaczął przerabiać reportaż. Zdecydowanie mu jednak nie szło. Konstancja wisiała obok, ale w pracy nie uczestniczyła. Pewnie nie chciała mieszać się do aktu twórczego. Anakonda poczuł nieprzewycięzoną senność. Przed usnięciem zajrzał do paczek leżących pod materacem. Wszystko w porządku. Pieniądzy jest jeszcze dużo! Obudził się wcześniej. Pospiesznie zrobił toaletę, wypił herbatę, włożył Konstancję do plecaka, na wierzchu sweterek - prezent dla Kiry - i ruszył na dworzec. Po drodze kupił bukiet sprowadzanych z Południa róż.

Wysiadłszy z podmiejskiego pociągu Jurij po dziesięciu minutach znalazł się przy domu Kiry. Siedziała na werandzie w jaskrawożółtej sukience, w której było jej bardzo do twarzy. Z opalenizną także było jej do twarzy. Powitała Anakondę nie tyle wrogo, co jakoś chłodno. Jurij natychmiast odniósł wrażenie, iż Kira nie jest zachwycona jego wizytą. Kwiaty łaskawie przyjęła, ale przyjęcia sweterka odmówiła kategorycznie.

- Jura, nie gniewaj się, ale nie potrzeba mi żadnych praktycznych prezentów. Cóż, chyba w końcu coś ci wydrukowali?

- Dostałem zaliczkę na reportażyk rzucił niedbale Anakonda. - Napisałem nie najgorszy kawałek o szlachetnym znalazcy.

- Takie słowo nie istnieje - spokojnie odparła Kira. - Nawiasem mówiąc, na plaży w Teodozji poznałam pewnego interesującego człowieka. Także jest dziennikarzem z Leningradu, ale on...

- Nie interesują mnie twoje znajomości z plaży - opryskliwie przerwał jej Jurij.

- Dajmy spokój sprzeczkom - ugodowo powiedziała Kira. - Pójdziemy się wykapać, chcesz?

- Nie boisz się zaziębić po powrocie z Południa? - spytał dyplomatycznie Jurij. Nie miał ochoty na wyprawę nad rzekę. Wiedział, że Konstancja niewątpliwie powędruje za nim do wody.

- Nie boję się przeziębienia - odparła z uśmiechem Kira. - Boję się natomiast, że zrobiłeś się niebywale leniwy. Weź łopatę, jest tam, obok garażu, i wykop dołek na słupek ogrodzenia. Od dziś będziemy do tego zmuszać wszystkich gości... A ja na razie pójdę pomóc mamie przy obiedzie.

Anakonda zdjął marynarkę, automatycznie chwycił torbę z kulą i ruszył po łopatę.

- Po co bierzesz torbę - roześmiała się Kira. - Nie możesz bez niej żyć?

- Po prostu ogromnie do niej przywykłem. Czuję się bez niej jak bez ręki - z udaną nonszalancją odparł Jurij i wzięwszy łopatę odszedł w odległy kraniec ogrodu.

Stare ogrodzenie było zwalone i wzdłuż granic posesji, w równej od siebie odległości, widniały kwadratowe jamki przygotowane pod nowe słupki. Niektóre z nich nie były jeszcze wykopane, zdjęto jedynie darń w odpowiednich miejscach. Anakonda położywszy torbę przy sobie bez pośpiechu zabrał się do roboty. I nagle wpadł na pewien pomysł. Przekroczywszy granicę posesji pospiesznie wyciął łopatą kwadrat darni i szybko zaczął kopać nowy dół. Pracował teraz ze wszystkich sił, ziemia tylko fruwała. Kiedy dołek głębokości jakichś osiemdziesięciu centymetrów był gotowy, Jurij rozejrzawszy się ukradkiem dokoła wyjął kulę i wrzucił ją na dno. Kula ciężko i pokornie ułożyła się na wilgotnej ziemi. Anakonda zaczął ją zasypywać.

“Wydaje mi się, że tym razem przechytryłem - pomyślał. - Spij spokojnie, droga Konstancjo! Niech ci ziemia lekką będzie!”

Zasypawszy mogiłkę Konstancji Jurij zaczął ubijać ziemię nogami. Potem odszedł na dwa kroki, żeby podelektować się dziełem swoich rąk i nóg. Jak jasno i przestronnie zrobiło się na świecie bez kuli! Jak wesoło szczebiotały ptaki! Jak lekko było oddychać!

Anakonda podniósł opróżnioną torbę i zrobił krok w kierunku domu. Na pożegnanie obejrzał się - i dzień znów stracił blask. Udeptana ziemia wybrzuszyła się, potem ukazała się Konstancja. Nie przyłgnęło do niej ani jedno ziarnko piasku. Była dokładnie taka sama jak przed swoim pogrzebem.

Na domiar wszystkiego zupełnie blisko rozległy się kroki Kiry i jej pełen zdziwienia okrzyk:

- Jura, co to? Dlaczego ona nie spada?

- To po prostu kula... Kula jak kula - speszony Anakonda bełkotał od rzeczy. - Możesz wziąć ją do ręki.

Kira ujęła ostrożnie kulę i natychmiast wypuściła.

- Jaka ciężka! I zimna jak żaba. Skąd ją masz?

- Kira, wszystko ci opowiem, ale przysięgnij, że nikomu nie powtórzysz. - Z tymi słowami Jurij podprowadził Kirę do ogrodowej ławeczki i opowiedział jej całą historię. Kira słuchała nie przerywając, a w końcu powiedziała:

- Oczywiście, nikomu nie powiem. To bardzo nieładna historia i jeżeli zrobi się o niej głośno, zaszkodzi nie tylko tobie. To się może odbić i na mnie, i na moim ojcu... Tak, już przedtem rozczarowałam się do ciebie i miałam rację. Nie gniewaj się, ale mam prośbę. Otóż dopóki towarzyszy ci ta okropna kula, nie przychodź tutaj.

- Kira, a jeśli ta kula nie odzepi się ode mnie nigdy? - z rozpaczą spytał Anakonda.

- Wówczas nigdy do mnie nie przychodź.

## KONSULTACJA NAUKOWA

Anakonda wrócił do domu kompletnie zgnębiony. Od czasu kiedy zawładnęła nim kula, diabelnie mu się nie wiodło. Jak przestawić życie na dawne tory? Jak uwolnić się od Konstancji?

Przypomniawszy sobie kopertę znaną w teczce złapał za tylną kieszeń spodni. Była pusta, nic w niej nie było. Anakonda zdrewniał. Zgubił... I w tym momencie dotarło do niego, że ma na sobie nowy garnitur, a stary poniewiera się w szafie. Rzucił się do szafy, wyciągnął stare spodnie. Pachniały igliwem, kilka sosnowych igieł upadło na podłogę, kiedy Jurij wyjął z tylnej kieszeni kopertę. - Druk na kopercie głosił:

PLANETAX (nazwę zachować w tajemnicy)  
INSTYTUT BADAŃ ODLEGŁYCH PLANET  
WYDZIAŁ STUDIÓW NAD PLANETA ZIEMIĄ  
REFERAT PSYCHOLOGII I ETYKI

Szanowny Znalazco!

Postąp z tymi pieniędzmi, jak uważasz za właściwe. Być może, przeczytasz ten tekst, kiedy część pieniędzy będzie już przez Ciebie wydana. Wówczas wydawaj je nadal lub przechowaj zależnie od własnej woli.

Tekścik ten niczego w gruncie rzeczy nie wyjaśniał, lecz przeciwnie - wprowadził do duszy Anakondy jeszcze więcej zamieszania. I wtedy przypomniał sobie nagle, że w ostatnich dniach natknął się w jednej z gazet na komunikat o powołaniu nowego Instytutu Naukowo-Badawczego nad Nie Wyjaśnionymi Zjawiskami Natury (INBNWZNJ). Postanowił wybrać się tam zaraz następnego dnia. A nuż będą mu mogli pomóc?

Instytut nie był zbiurokratyzowany i Anakondę natychmiast, bez jakichkolwiek ceregieli, zaprowadzono do gabinetu kierownika naukowego INBNWZNJ, Rasswietowa. Kiedy Jurij pokazał mu swoją dziennikarską legitymację, Rasswietow oświadczył:

- Trochę za wcześnie jeszcze, żeby pisać o instytucie. Mamy na razie zbyt mało danych, towarzyszu Lesowałow.
- W ogóle to ja jestem Anakonda - z miejsca wyjaśnił Jurij. - Wiecie, to taki wąż. Żyje w górnym dorzeczu Amazonki, poszczególne egzemplarze osiągają długość czternastu metrów.
- Dziesięciu i pół - uściślił Rasswietow. - Dawno się to wam przydarzyło?
- Co się przydarzyło?
- No, że zaczęliśmy uważać się za węża.
- Wcale nie uważam się za węża. To po prostu mój pseudonim.
- Ach tak! Bo widzicie, wczoraj zjawił się obywatel, który uważa się za pingwina. A to nie nasza dziedzina.
- Ja nie z takich. Ja mam interes... Chcę wam zwierzyć pewną tajemnicę. Ale czy instytut rzeczywiście zajmuje się niewyjaśnionymi zjawiskami?
- Nie wyjaśnionymi - poprawił Rasswietow. - Owszem, zajmujemy się. Zaczęły do nas napływać poszczególne... no, jak by to powiedzieć... dziwne przedmioty. Ludność chętnie wychodzi nam naprzeciw. Na przykład trzy dni temu pewien chłopiec, miłośnik przyrody, przyniósł nam interesujący obiekt. Złapał go na ulicy. - Mówiąc to Rasswietow otworzył drzwi. Z sąsiedniego pokoju wybiegł jamnik i położył się na dywanie obok biurka.
- To ma być obiekt? To zwykły pies! - gniewnie powiedział Jurij. - Ja z wami jak z człowiekiem, a wy z jakimiś psami!

- To nie jest pies, lecz bioelektronowe urządzenie wykonane w kształcie psa i zrzucone na Ziemię w celu zbierania informacji - nie podnosząc głosu mówił Rasswietow.

- Przyjrzyjcie się uważnie.

- Panie święty, on ma sześć nóg! Czemu od razu nie powiedzieliście! - podskoczył Anakonda.

- Po co mu sześć nóg?

- Asekuranci z Wenus - wyjaśnił Rasswietow. - To ich robótka. Skonstruowali nie najgorsze w sumie urządzenie, ale by zwiększyć współczynnik trwałości, dodali parę nóg... Tak więc, co chcieliście mi zakomunikować? Proszę się nie kępować, od razu wymontowaliśmy temu "jamnikowi" urządzenie nadawcze i na Wenus niczego się nie dowiedzą.

- Chciałbym, żeby i na Ziemi niczego się nie dowiedziano - oświadczył Anakonda. - Pokażę wam teraz też pewne urządzenie. Ale najpierw przeczytajcie to - i włożył do ręki Rasswietowa tajemniczą kopertę.

Rasswietow przeczytał i pokiwał w milczeniu głową.

Wtedy Jurij wyjął z torby kulę, która natychmiast zawisła w powietrzu. Bioelektronowy pies na widok Konstancji zerwał się z dywanu i podwinąwszy ogon z żalnym piskiem pomknął do sąsiedniego pokoju.

- Bardzo dziwna kula - zamyślił się Rasswietow. - Agresywna?

- Nie. Możecie wziąć ją do ręki. Nie gryzie. Już lepiej, żeby gryzła.

Rasswietow potrzymał kulę, potem puścił. Konstancja wróciła na poprzednie miejsce w powietrzu.

- Bardzo dziwna kula - powtórzył Rasswietow. - Analogii, jeśli się nie mylę, w historii brak. Ciężar właściwy wydaje się większy niż ołowiu. Powiedzcie, proszę, czy jej temperatura często się zmienia?

- Wcale. Nawet jeśli wrzucić ją w ogień, jest tak samo zimna.

- Dziwny obiekt! - powtórzył po raz trzeci Rasswietow. - Opowiedzcie, jak i kiedy nawiązaliście z nim kontakt. Co poprzedzało chwilę, w której kula skontaktowała się z wami? Powiedzcie mi wszystko bez przemilczeń, jak lekarzowi.

- Opowiem wam całą prawdę - oświadczył Jurij - ale musicie mi obiecać, że tajemnica kuli nie wydobędzie się poza mury waszego instytutu.

- Bardzo chętnie wam to obiecuję - odparł Rasswietow. - Jeśli jednak w trakcie badań nad kulą okaże się, że zachowanie tajemnicy zagraża życiu i zdrowiu innych ludzi, a także stanowi możliwość odpływu informacji z Ziemi na inną planetę, będę zmuszony odwołać tę obietnicę.

- Rozumiem - powiedział Anakonda. - Oczywiście, jeśli kula miałaby działać na szkodę innych, trzeba będzie zrezygnować z tajemnicy. A teraz słuchajcie, proszę.

Opowieść Anakondy była długa. Rasswietow słuchał go uważnie. Potem zaprowadził go do laboratorium, gdzie kulę poddano najrozmaitszym doświadczeniom. Jurij wyszedł stamtąd wieczorem i przez cały tydzień chodził do INBNWZN regularnie jak do pracy. Czegóż tam nie wyprawiano z Konstancją! Wkładano ją do termostatu, zanurzano w kwasach i zasadach, poddawano działaniu prądu elektrycznego, walono młotem, zamurowywano ją w cemencie, zagrzebywano pod płytami pancernymi i arkuszami ołowiu. Pod koniec tygodnia Rasswietow sporządził kartę badań, której kopię wręczył Anakondzie.

INBNWZN karta statystyczna nr 19/k

Umowna nazwa badanego obiektu Analogie w/g kartoteki nie wyjaśnionych zjawisk  
 KWEPPS (kula wszechprzenikająca, eksterytorialna, pochodzenia pozaziemskiego,  
 samosterowna) Analogii brak

Zewnętrzny wygląd obiektu w stanie spoczynku Stopień niebezpieczeństwa w/g 12° skali  
 Kargera w momencie agresywności

Kula regularnego kształtu, barwa ciemna 12 stopni w/g Kargerera

A. charakterystyka właściwości chemicznych i fizycznych

1. Średnica: 77,631 mm
2. Ciężar atomowy: 265,
3. Właściwa pojemność cieplna: brak
4. Temperatura topnienia: nie wyjaśniona
5. Reakcja na kwasy: nie reaguje
6. Reakcja na alkalia: nie reaguje
7. Promieniowanie radioaktywne: brak
8. Przewodnictwo elektryczności: brak

B. Charakterystyka psychologiczna

1. Rozumna
2. Nieemocjonalna
3. Nieagresywna (patrz § 1 “Uwag szczególnych”)
4. Zdolna przewidywać wydarzenia
5. Zdolna do licznych funkcji opiekuńczych wobec istoty, z którą nawiązała kontakt.

C. Mechaniczno-funkcjonalne cechy i anomalia

1. Niezależnie od tego, że posiada ciężar właściwy większy od powietrza i wody, pływa i unosi się w powietrzu.
2. Bez trudu przenika każde otoczenie.
3. Zdolna do różnorodnych działań fizycznych, chemicznych i mechanicznych.
4. Uniwersalna.
5. Autonomiczna.
6. Niezniszczalna przy użyciu dostępnych na Ziemi środków.

Uwagi szczególne:

1. Nie zaprogramowana do niszczenia żywej tkanki lub sama podjęła decyzję nieszkodzenia substancjom białkowym.
2. Fizycznie eksterytorialna.
3. Źródła zasilania - nie znane.
4. Miejsce powstania - nie ustalone.

Anakonda uważnie przeczytał dane.

- Co to znaczy “fizycznie eksterytorialna”? - spytał Rasswietowa.

- Badając KWEPPS musieliśmy wprowadzić ten umowny termin naukowy. KWEPPS jest eksterytorialna w tym sensie, że znajdując się na Ziemi podlega nie ziemskim prawom fizycznym, lecz prawom tego systemu słonecznego, skąd przybyła.

- Wszystko to razem wcale mnie nie cieszy - skonstatował Jurij. - W tych danych nie ma ani słowa o tym, jak mam się uwolnić od kuli. Myślicie, że lekko mi jest cały czas ją dźwigać! Już mnie ręce boją! A o moim stanie psychicznym nawet mówić nie warto!

- Żadnych praktycznych wskazań, niestety, dać wam nie mogę. Przypadek jest zbyt nietypowy. Obawiam się, że najlepsze wyjście to zachować status quo i pocieszać się myślą, że jesteście jedynym człowiekiem, który nawiązał kontakt z tak niezwykłym obiektem pochodzącym z innej planety.

- Niechże diabli porwą takie kontakty międzyplanetarne! - wykrzyknął Anakonda. - I czemu musiała przyczepić się akurat do mnie?

- Może KWEPPS upatrzyła was sobie zawczasu. Do przeprowadzenia doświadczenia potrzebny jej był człowiek o określonym charakterze... Powiedzmy, uczciwy w głębi duszy, ale nie w pełni odporny na pokusy. Kontakt nawiązany został w momencie, kiedy zdecydowaliście się skorzystać z pieniędzy. Od tej chwili KWEPPS wzięła was pod obserwację i opiekę. Dopóki istnieje między wami kontakt, KWEPPS nie pozwoli, by spadł wam włos z głowy. Ona tak wiele może, że wyjdziecie cali i zdrowi, choćbyście znaleźli się w epicentrum wybuchu bomby atomowej.

- Dziękuję pięknie za takiego całego i zdrowego, towarzyszu Rasswietow! Wolę pożyć sobie normalnie, a potem normalnie umrzeć... A gdybym tak sam zaskarżył się do sądu, co, towarzyszu Rasswietow? Że niby tak i tak, przywłaszczyłem sobie dziesięć tysięcy, osądźcie mnie i dajcie wyrok. Może w więzieniu kula ode mnie się odczepi?

- Nasz ziemski sąd wam nie grozi - odparł Rasswietow. Z prawnego punktu widzenia nie dokonaliście ani kradzieży, ani nawet przywłaszczenia rzeczy znalezionej. Jak wynika z tekstu na kopercie, KWEPPS zgodnie z faktami sama podsunęła wam, lub jeśli wolicie, zaproponowała te pieniądze. Ponieważ KWEPPS jest czymś całkowicie materialnym oraz istotą myślącą i rozumną, doskonale można ją traktować jako osobę prawną i poprzedniego właściciela pieniędzy. Tak więc de iure i de facto otrzymaliście dziesięć tysięcy w prezencie. Czyli ani wobec prawa, ani wobec ludzi nie popełniliście żadnego przestępstwa. Popełniliście je wobec siebie, a ściślej - na sobie.

- Chwileczkę, towarzyszu Rasswietow, ale przecież kula nie mogła zarobić tych pieniędzy uczciwą pracą. Albo gdzieś je rąbnęła, albo podrobiła, wobec czego mam prawo do wyroku jako współuczestnik przestępstwa.

- Podczas tygodniowej obserwacji KWEPPS doszedłem do wniosku, że aczkolwiek nie podlega ona ziemskim prawom fizycznym, do ludzkich praw i zasad odnosi się z całym pietyzmem. Jest mądra i zbyt wiele może, by wnosić zbędny chaos w nasz świat. Naturalnie mogłaby ograbić wszystkie banki świata lub wydrukować miliardy fałszywych banknotów, nie sądzę jednak, żeby poszła tą drogą. Szanowna KWEPPS, powiedzcie nam proszę, jak zdobyliście dziesięć tysięcy? - zwrócił się Rasswietow do kuli.

Konstancja zamigotała zielonym światłem i na ścianie pokazał się świetlny, stopniowo gasnący napis:

$1 = 0; 0 = 1.$

- No tak, teraz wszystko jest jasne - powiedział Rasswietow. - Ona po prostu odtwarza banknoty. Co dzień, co godzinę banknoty przestają istnieć - płoną w pożarach, toną razem ze statkami, wypadając w ten sposób z obiegu. I te właśnie banknoty odtwarza KWEPPS... Zrobimy małe doświadczenie - mówiąc to Rasswietow wyjął z kieszeni trzyrublowy banknot i zapalki. Zapisawszy numer i serię banknotu podpalił go. Kiedy zielony papierek spłonął, Rasswietow poprosił Konstancję: "Odtwórzcie, z łaski swojej!"

Kula rozbłysła na moment błękitnym światłem, potem wysunęła się z niej dźwigienka zakończona kwadratową platformką, z której spadł na stół trzyrublowy banknot. Kula wchłonęła dźwigienkę.

- Te same trzy ruble, numer identyczny, seria też identyczna - skonstatował Rasswietow. - Serdecznie dziękuję, szanowna

KWEPPS. Zachowam ten banknot do końca życia... A może jednak usłyszymy, skąd pani do nas przybyła i po co?

Ciemna kula nieruchomo i bezgłośnie wisała w powietrzu trzy kroki od Anakondy.

- Tak właśnie sterczy obok mnie i nic nie da się z nią zrobić - pożalił się Jurij. - Czy naprawdę nie ma żadnego wyjścia?

- Nie mam prawa narzucać panu jakichkolwiek reguł postępowania - odparł Rasswietow. -

Wydaje mi się jednak, że ponieważ cała sprawa zaczęła się od pieniędzy, ten fakt należy przyjąć za punkt wyjścia do dalszych rozważań. Tak więc KWEPPS wręczyła panu dziesięć

tysięcy rubli. Interesuje ją pańskie zachowanie jako właściciela tych pieniędzy. Dopóki zostanie panu choć jedna kopiejka z tej sumy, KWEPPS nie zmieni swego stosunku do pana. Będzie pan żył pod jej opieką; będzie pana obserwowała a zarazem strzegła przed wszelkimi fizycznymi niebezpieczeństwami i okazywała być może pomoc lekarską. Czyli dopóki jest pan w posiadaniu pieniędzy KWEPPS, jest pan praktycznie nieśmiertelny. Ale to raczej smutna nieśmiertelność. Teraz wyobraźmy sobie inną metodę postępowania. Wydaje pan w przyśpieszonym tempie pieniądze wręczone przez KWEPPS i kula porzuca pana, ponieważ, rozumując logicznie, jej misja została wykonana, doświadczenie przeprowadzone. Ale w takim przypadku działanie KWEPPS może przebiegać według dwu wersji. Wersja A: KWEPPS porzuca pana bez jakichkolwiek dla pana następstw; wersja B: KWEPPS porzuca pana przeprowadziwszy uprzednio przeciw panu akcję niszczącą, aby nie pozostawić na Ziemi zbędnego świadka. Przecież przestając być jej podopiecznym lub ściślej, obiektem doświadczenia, pan...

- Ładna historia! Ona w dodatku może mnie jeszcze wykończyć!

Tak. Proszę nie zapominać, że aczkolwiek obdarzona rozumem, KWEPPS zupełnie pozbawiona jest emocji. Jeżeli uzna za celowe...

- Wpakowałem się w ładną historię!...-; zawołał Anakonda sięgając po torbę z kulą. - No cóż, dziękuję za rozmowę... Ale dotrzyma pan słowa? Mam nadzieję, że w prasie nie będzie żadnej wzmianki z racji mojego kontaktu z kulą?

- Nie, nie będzie. Robienie hałasu jedynie wtedy miałoby sens, gdyby ludzie mieli jakieś sposoby oddziaływania na KWEPPS, ale KWEPPS jest wszechmocna, wszechprzenikająca i niezniszczalna. Ukazanie się wiadomości w prasie o niej wywołałoby jedynie ogólnoświatową panikę... Kończąc chciałbym zwrócić się do pana z pewną prośbą - KWEPPS doskonale zna świat materii i potrafi go sobie podporządkować, a psychiczny świat człowieka jest dla niej niejasny i w jakimś stopniu uczy się go na panu. Niewykluczone, że jest pan dla niej wzorcem. A jeżeli tak, to według tego wzorca KWEPPS osądzi całą ludzkość. Dlatego niech pan zachowuje się wobec KWEPPS możliwie uprzejmie, lub jak mawiano w dawnych czasach, tolerancyjnie.

## WAŻNA DECYZJA

Wróciwszy do domu Anakonda wypuścił z torby Konstancję, która jak zwykle zawisała w powietrzu. Jurij popadł w zadumę. Co robić? Pospieszenie wydawać pieniądze i czekać na wyzwolenie lub zagładę, czy też oszczędzać pieniądze i smętnie wegetować w jej władzy?

Co wybrać?

Anakonda do głębokiej nocy rozważał ten problem. Wreszcie wstał, podszedł do okna. Powrózył sobie: jeśli na skwerze obok tamtej ławki przejdzie mężczyzna - należy żyć oszczędnie, a jeżeli kobieta - należy konsekwentnie wydawać pieniądze. I oto po chwili w alejce ukazała się dziewczyna w niebieskiej sukience i lekkim krokiem minęła ławkę. W przezroczystym mroku białej nocy jej twarz wydała się Anakondzie znajoma. Ależ to przecież Leoncavalla - ta miła dziewczyna, którą widział kiedyś przez lornetkę!...

- Będą rozrzucał pieniądze garściami - podjął decyzję Anakonda. - Zginę albo znów stanę się człowiekiem.

Ledwie zdążył to pomyśleć, kiedy rozległo się delikatne pukanie w ścianę i z sąsiedniego pokoju dobiegł głos Wawika:

- Jura, czy mógłby pan zajrzeć do mnie na chwilkę?

Anakonda ruszył do drogiego sąsiada. Konstancja popłynęła za nim.

Światło w pokoju było wyłączone. Gospodarz siedział przy oknie w fotelu dentystycznym na stałe przytwierdzonym śrubami do posadzki. Głowa patrzącego spoczywała wygodnie na ruchomej skórzanej poduszce. Peryskop wisiał na starannie przemyślanym systemie bloków i łańcuszków.

- Tak oto sobie żyję pogrążony w świecie piękna - zaczął ze wzruszeniem Wawik. - Ale cóż, dziewczęta rozjeżdżają się na wakacje. Wiem, że jesienią wrócą, wrócą opalone, ładniejsze, wnosząc ze sobą aromat polnego rumianku, zapach leśnych konwalii...

- Wawilonie Wiktorowiczu, przecież zapachu przez peryskop nie widać - przerwał mu Jurij.

- Ach, niech pan nie podcina skrzydeł memu marzeniu! tęsknie zaprotestował Wawik. I zupełnie innym tonem: - Pan naturalnie przyszedł z kulką? Widzę, widzę, zdrowa i cała nasza droga kulka... Dawno jakoś, Jura, nie rozmawialiśmy jak asystent z asystentem.

- Znowu chce pan pieniędzy? - spytał wprost Anakonda.

- Ależ mój młody przyjacielu, czemu tak brutalnie, tak jednoznacznie! Nie potrzebuję pieniędzy, muszę wzmocnić aparaturę. Rozumie pan, pewien mój znajomy sprzedaje niewielki przenośny teleskop. Chce za niego raptem sto osiemdziesiąt luidorów, jak mawiali...

- Dam panu te luidory - spokojnie odparł Jurij. - Mnie obecnie na luidorach nie zależy.



## NIEOCZEKIWANA WERSJA

Następnego dnia, zabrawszy torbę z Konstancją, Jurij wybrał się do oddziału Aeroflotu. Postanowił polecieć do Soczi. Nie była to jeszcze pełnia sezonu i Anakonda bez trudu dostał bilet na TU-104. Później wstąpił do domu towarowego, gdzie kupił porządną walizkę.

- Wyjeżdża pan? - spytał Wawik, ujrawszy w przedpokoju Anakondę z walizką.

Tak, jutro lecę nad Morze Czarne.

- Miło mi to słyszeć, Jura... Na Południu jest tyle piękna godnego obserwacji. słońce, morze, opalone dziewczęta na plaży, święto bytu i świadomości!... Jaka szkoda, że kupił pan tylko jeden bilet! Nie pomyślał pan o Wawilonie Wiktorowiczu, - o człowieku, który święcie strzeże cudzych tajemnic!...

- Dobrze, Wawilonie Wiktorowiczu, niech pan weźmie mój bilet. A oto pieniądze na drogę powrotną i na wczasowe wydatki. Ja się rozmyśliłem - stanowczo powiedział Anakonda. Zrozumiał, że najlepszy sposób, by choć na jakiś czas uwolnić się od Wawika, to wysłać go na Południe, a samemu zostać w mieście. Poza tym Konstancja ogromnie utrudniałaby życie na wczasach.

- Dziękuję, Jura! - wzruszonym głosem powiedział Wawik i odwrócił się pospiesznie, by skryć łzy rozrzewnienia.

Następnego dnia, spakowawszy do pożyczonej od Anakondy walizki plażowe drobiazgi i peryskop, Wawilon Wiktorowicz odjechał na lotnisko i wzniósł się w powietrze. W dole, w delikatnej mgiełce, niby w cieniuteńkiej nylonowej koszulce, drzemała zielona równina. Wkrótce pod prawym skrzydłem ukazał się szmaragd morza; z lewej rozciągały się smagłe góry w biustonoszach wiecznych śniegów.

Tego samego dnia Anakonda przystąpił do wzmożonego wydawania pieniędzy. O ile jeszcze niedawno kupował rzeczy, które miały jakiś praktyczny sens, to obecnie wydatki nosiły całkiem odmienny charakter. Przyszedłszy na rynek zaczął skupywać kwiaty, a potem, na ulicy, rozdawał je mijającym go dziewczętom. Wieczorem, wkroczywszy do szaszłykami, oświadczył głośno, że obchodzi właśnie urodziny, a zatem płaci za wszystkich jedzących i pijących. Większość obecnych z oburzeniem odmówiła tej jednorazowej zapomogi, ale znaleźli się również tacy, którym bardzo to odpowiadało. Jurij natychmiast obrósł gromadą pochlebców i pieczeniarzy. Od tego dnia pieniądze zaczęły topnieć niczym cukier we wrzątku.

Po tygodniu Anakonda spostrzegł, że ma już tylko sto trzydzieści rubli. A w dwa dni później, obudziwszy się z ciężką głową po kolejnej pijatyce ze świeżo zdobytymi kumplami, znalazł w kieszeni marynarki jedną dziesięciurublowkę. Poszperawszy w pozostałych kieszeniach dołączył do niej dwa ruble sześćdziesiąt kopiejek. I wówczas zrozumiał, że nadszedł decydujący moment. Wyda dziś te ostatnie pieniądze - i kuła porzuci go, uwalniając go od jarzma, albo... Niech się stanie, co ma stać!

Anakonda wziął torbę z Konstancją i udał się do najbliższej restauracji. Porządnie tam sobie podjadł, po czym do wieczora spacerował po ulicach. Białe noce już się skończyły, miasto ogarnął ciepły zmrok.

W Newie odbijały się płonące na mostach latarnie. Wesołym blaskiem jarzyły się neony na Newskim. Chodnikami szły szczęśliwe pary, śliczne dziewczyny. Może widzę to wszystko po raz ostatni - z nostalgicznym smutkiem myślał Jurij idąc do domu.

W delikatesach na rogu Anakonda kupił butelkę koniaku: azerbejdżańskiego z trzema gwiazdkami - jak już ginąć, to z fasonem! Ponadto wziął paczkę najdroższych papierosów i pudełko zapalek. Zostało mu pięć kopiejek. Teraz już tylko ta moneta wiązała go z Konstancją, a być może i z życiem.

Po powrocie do domu wypuścił z torby kule, która jak zawsze zawisała w powietrzu trzy kroki od niego. Potem nalał pełną szklanę koniaku i wychylił ją pod papierosa. Potem wypił po raz drugi. W ciele poczuł przyływ obezwładniającego ciepła, świat zaczął pulsować, ściany to rozsuwały się, to zbliżały, jakby chciały Anakondę zmiazdżyć. Wreszcie wygrzebawszy z kieszeni ostatnią pięciokopiejkową Jurij podszedł do okna.

Domy za oknem chwiały się, światła miasta rozbłyskiwały i gasły, niczym lampki zwiastujące katastrofę. W akademiku naprzeciw oświetlone było tylko jedno okno, czwarte z brzegu. Anakondzie wydało się, że na parapecie siedzi dziewczyna w niebieskiej sukience Leoncavalla. Nagle okno pomknęło gdzieś ku górze i zgasło. Jurij rzucił monetkę, która z cichym brzękiem upadła na chodnik. Wszystko skończone...

...Obejrzał się. Konstancja niezmiennie unosiła się w powietrzu trzy kroki od niego. Naukowe prognozy Rasswietowa nie sprawdziły się. Możliwe, iż kula wybrała własny nieoczekiwany wariant i postanowiła na zawsze zostać z Anakondą.

„...A gdyby tak się powiesić - błysnęła mu chorobliwa myśl. - Trudno, stracę życie, ale jedynie w ten sposób mogę uwolnić się od Konstancji...”

Zataczając się podszedł do łóżka i wydobyl spod niego linę. Kiedyś był członkiem kółka początkujących alpinistów i lina ta należała do wyposażenia grupy. Jurij spróbował, czy lina jest dostatecznie mocna. Zastanawiał się, gdzie by ją zaczepić, ale nie potrzebował długo się zastanawiać: nad drzwiami stercały dwa solidne metalowe haki, które niegdyś podtrzymywały kotarę. Wybieraj, człowieku, który wolisz.

Kula za plecami Anakondy bezdźwięcznie zapłonęła smutnym błękitnawym światłem i w tej samej chwili lina zamieniła się w garstkę szarawego śmiecia, rozpadła się na włóknisty pył. Haki zniknęły. Na ich miejscu ciemniały w ścianie niewielkie otwory.

- Nawet nie dasz się człowiekowi powiesić! - wykrzyknął Anakonda, grożąc Konstancji pięścią. - Ale i tak cię wykiwam!

Rzucił się do otwartego okna, wskoczył na parapet i objąwszy dłońmi głowę skoczył.

Opustoszała ulica, ciemne drzewa na skwerze, czarne szpikulce ogrodzenia wybiegły mu na spotkanie, ale w tej samej chwili jakaś sprężynująca siła zahamowała jego upadek. Zawisł nad ulicą w hamaku z cienkich, lodowato zimnych nici, a nad nimi unosiła się kula. Potem uniosła go na wysokość parapetu i delikatnie zwijając linki wciągnęła do pokoju.

Anakonda płacząc rzucił się na łóżko.

## ŻYCIE W UPOKORZENIU

Jurij ocknął się w południe. Pękała mu z bólu głowa. Miał mdłości. Kula niezmiennie wisiła trzy kroki od łóżka. Przypomniawszy sobie ubiegły wieczór Anakonda aż jęknął. Co teraz począć? Konstancja zostaje z nim na zawsze, w kieszeni nie miał ani kopiejki, życie zmarnowane, a umrzeć nie wolno. Co począć?

Wstał, niechętnie, ospale się ubrał, podszedł do stołu, obejrzał pustą butelkę. W okresie spieszego wydawania pieniędzy przywykł już wypijać rano klina, ale przecież teraz nie miał ani grosza. Miał, co prawda, różne przedmioty - magnetofon, aparat fotograficzny, coś niecoś z ubrania. Mógłby zanieść to do komisju, ale nie od razu dają tam pieniądze, trzeba czekać, aż towar zostanie sprzedany. A co tymczasem jeść? Z redakcji już go zwolniono, wstyd iść tam prosić o zaliczkę. Co począć?

Kula rozświetliła pokój błękitnym blaskiem. Wysunęła się z niej dźwigienka z miniaturową platformą, z której spadły na biurko zmięte dwa ruble.

- Aha, postanowiła wziąć mnie na utrzymanie - jadownicie uśmiechnął się Jurij. - Niezbyt jesteś szczodra, Konstancjo. Ale dzięki i za to... No cóż, wskakuj do torby, pójdziemy kupić coś do picia i jedzenia.

Przed wszystkim Jurij kupił ćwiartkę "Moskiewskiej" i papierosy „Pamir”, potem trzydzieści deka pasztetówki trzeciego gatunku (64 kopiejki za kilo) i chleba. Po powrocie do domu wyjął z torby sprawunki i Konstancję, postawił wódkę na biurku. Pierwszą setkę zakąsił pasztetową i zapaliwszy papierosa pomyślał w duchu: "Nie jest źle. Z wódką można żyć. A co najważniejsze, od wódki można umrzeć, i w tym, droga moja przyjaciółko Konstancjo, nie możesz mi przeszkodzić. Będę pił systematycznie, zapiją się na śmierć i skończy się to poniżające życie".

Kula rozbłysła zielonkawym światłem. Uderzyła z niej cienka wiązka promieni, musnęła butelkę i zgasła. Tknięty złym przeczuciem Anakonda drżącą ręką nalał drugą setkę, podniósł ją do ust i natychmiast z obrzydzeniem wypluł. Wódka się skończyła, wódka zamieniła się w wodę.

Dla Anakondy zaczęło się życie bezalkoholowe, bezawaryjne, beczynne i beznadziejne. Co rano otrzymawszy od Konstancji dwa ruble wkładał kulę do plecaka i wyruszał po jedzenie. Po powrocie zjadał skromne śniadanie i zabierając torbę z Konstancją wychodził wałęsać się po mieście. Szedł bez celu, nie rozglądając się, z oczami utkwionymi w płyty chodnika, byle tylko nie siedzieć w domu. W pokoju trudno wytrzymać, zresztą nie sposób siedzieć w nim bez przerwy, zwłaszcza, że sąsiedzi i tak już zaczęli patrzeć na Anakondę kosym okiem dziwiąc się, że nie chodzi do pracy. Tak więc włóczył się po ulicach. Plecak z Konstancją nosił teraz na ramionach. Prawie już się do niego przyzwyczyli jak garbaty do swego garbu. Nawąławszy się po mieście do ogłupienia, Jurij wracał do domu, niechętnie przygotowywał sobie jakiś nieskomplikowany posiłek, niechętnie go zjadał i znów wyruszał do miasta. Zaniedbał się, przestał się golić, nowy drogi garnitur zakurzył się i zatłuścił, ale go nie czyścił. Nie miał już żadnych nadziei, żadnych aspiracji i coraz bardziej unikał ludzi. Jego potrzeby ograniczyły się wyłącznie do jedzenia, i tak zresztą było mu obojętne, co je. Na życie starczały mu dwa ruble otrzymywane od Konstancji. Oczywiście miał rzeczy, które mógłby sprzedać, ale nie chciało mu się odnosić ich do komisju. Zresztą pieniądze nie były mu obecnie potrzebne. Wróciwszy wieczorem do domu pił herbatę, zagryzając ją chlebem, rzucał się na łóżko i momentalnie zasypiał. Nic mu się nie śniło. Zdawało się, że kula odebrała mu nawet sny.

## LEONCAVALLA - TANIA

Była połowa sierpnia. Do syta nałaziwszy się po mieście i czując, że nadeszła pora obiadu, Jurij z plecakiem na ramionach szedł przez skwer w stronę domu. Nie spieszył się. Tego dnia bardzo nie chciało mu się wracać pod cień własnej strzechy. Chodziło o to, że poprzedniego dnia przyleciał z Południa Wawik, w związku z czym doszło do nieprzyjemnej sceny. Wawik był ogromnie niezadowolony, że Anakonda wysłał go do Soczi. Żar Południa pozbawił go właściwej mu powściągliwości, toteż zapomniał o mądrych radach czasopisma "Medycyna dla wszystkich". Rezultat był taki, że pewna kobieta wykryła Wawika, kiedy w piżamie i z peryskopem niczym snajper ukrył się w skałach położonych w pobliżu damskiego solarium. Kobieta narobiła krzyku, zbiegły się towarzyszki. Piszczwały, szczypały Wawika i nawet biły go peryskopem po głowie, w wyniku czego peryskop został poważnie uszkodzony i wymagał naprawy.

- Ależ, Wawilonie Wiktorowiczu, przecież ma pan jeszcze lornetkę i przenośny teleskop - zauważył Jurij.

- Istotnie. Ale przecież każdy człowiek chciałby dysponować pełnym zestawem przyrządów optycznych. Poza tym, mocno spłukałem się na Południu, dokąd sam pan mnie wysłał...

- Moja sytuacja materialna znacznie się pogorszyła. Jeśli pan chce, proszę wziąć magnetofon. Można go sprzedać. Poza tym ten sweter. Wprawdzie jest damski, ale może go pan również sprzedać.

- Raduje pan moje serce, młody przyjacielu, ale czy nie mógłby pan wesprzeć mnie gotówką?

- Nie mam gotówki. Kula daje mi dwa ruble dziennie.

- Jura, jeśli co dzień będzie mi pan oddawał jedną czwartą otrzymanej od kulki sumy, to wyjdzie to panu jedynie na korzyść.

- Wawilonie Wiktorowiczu, na co się panu zdadzą moje ćwierćrublówki...

- Ach, Jura, nie jestem interesowny, ale optyka wymaga ofiar. Postanowiłem zbierać pieniądze na teleskop stereoskopowy. Dzięki niemu będę mógł oglądać świat piękna w trzech wymiarach.

Anakonda nie wdawał się w spory. Było mu wszystko jedno. Wyjął z kieszeni dwie monety po piętnaście kopiejek i jedną dwudziestokopiejkową. Wawik wyciągnął rękę. Konstancja pogrążyła się na moment w opalizującym przezroczystym obłoczku.

- Dziękuję, Jura! - powiedział Wawik biorąc pieniądze i nagle z okrzykiem bólu rzucił je na podłogę i zaczął dmuchać na palce. - Nie daruję panu tego! Podsuwać człowiekowi rozpalone pieniądze! Co za świństwo!

- To kula... Stoi na straży mojej stopy życiowej - stwierdził Jurij i schylił się, aby zebrać pieniądze. Wcale nie były gorące.

- Świństwo! powtórzył Wawik. Pana i pańską podejrzaną kulę dawno już należało zdemaskować wobec ludności. Jutro złożę oświadczenie w tej sprawie w administracji domu!

- Chwytając po drodze magnetofon i sweter, przeznaczony niegdyś dla Kiry, wybiegł z pokoju, gniewnie trzaskając drzwiami.

...Oto dlaczego Jurij zapełnię nie miał ochoty wracać dzisiaj do domu. Całkiem prawdopodobne, że czekają tam na niego, nowe przykrości. Zsunąwszy plecak z ramion przysiadł na ławeczce i zapalił, chcąc jak najbardziej oddalić moment powrotu. Palił powoli, wkładając w to uczucie i myślał sobie, że jak na razie wolno mu przynajmniej palić, przeciwko temu Konstancja nie protestowała.

Tak więc siedział sam na brzeжку ławki blisko śmietniczki. Po przeciwnej stronie alejki, na takiej samej ławce, drzemali dwaj emeryci. Skwer był niemal bezludny; w sierpniu Leningrad zawsze pustoszeje: wielu dorosłych jest na urloпах, wszystkie dzieci są na letniskach i na

obozach pionierskich. Było cicho. Z nieba, gdzieś z góry, zaciągnięte delikatną mgiełką obłoków płynęło jednostajne, nieoślepiające światło.

Od lewej rozległ się cichy odgłos kroków. Jurij obejrzał się. Alejką szła Leoncavalla. Poznał ją od razu, choć tym razem była ubrana w kolorową kretonową sukienkę. W ręce miała niedużą torbę, na której lśniaco białej powierzchni widniały tańczące żabki. "Jeśli usiądzie na ławce, to w twoim życiu jeszcze nie wszystko jest stracone, jest jeszcze nadzieja uwolnienia się od kuli" - powróżył sobie Anakonda. Serce nagle zaczęło bić mu tak, jakby spadał w przepaść albo wlatywał w niebo, prosto w słońce.

Dziewczyna lekkim krokiem minęła ławkę i nagle jakby coś sobie przypomniała, przystanąła, zrobiła krok do tyłu i usiadła na samym jej brzeжку, położywszy obok torbę.

- Dziękuję, Leoncavallo - wyrwało się Anakondzie.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale bez najmniejszego odruchu niechęci.

Potem na jej twarzy pojawił się lęk. Przynęła się bliżej.

- Jest panu słabo? - spytała łagodnie i po prostu. - Dlaczego pan tak zbladł?. Może przynieść wody?

- Nie, nie, dziękuję... Po prostu dużo chodziłem... Chodziłem i chodziłem... Proszę się nie niepokoić... - Jurij tak dawno nie rozmawiał z ludźmi z wyjątkiem Wawika), że z trudem dobierał słowa.

- Istotnie, teraz chyba jest panu lepiej - powiedziała dziewczyna. - Ta bladeść już minęła...

Ale dlaczego zostałam ni stąd, ni zowąd Leoncavalla? Przecież to był taki kompozytor. Mam na imię Tania. A pan?.

- W zasadzie byłem Anakondą. Wie pani, to taki wąż. Żyje w górnym dorzeczu Amazonki. Poszczególne egzemplarze osiągają dziesięć i pół metra długości... Ale nie wyszła ze mnie Anakonda.

- To był pański pseudonim? - domyśliła się Tania.

- O, właśnie. Chciałem być dziennikarzem, ale zabrakło mi talentu. Dlatego proszę nazywać mnie po prostu Jurij. Mieszkam w tym domu.

- Podoba mi się, że tak zwyczajnie pan o sobie mówi. Na pewno jest pan dobrym człowiekiem.

- Myli się pani. Zrobiłem coś bardzo nieładnego, nie mogę więc być dobry.

- Nie, nie sądzę, żeby był pan zły. Ale wygląda pan na ogromnie zmęczonego. Widziałam pana kilkakrotnie na ulicy. Zawsze idzie pan nie patrząc na ludzi.

- Pani twarz także jest mi znajoma. Widziałem panią...

- Mieszkam przecież w akademiku, tu obok. Spotykaliśmy się pewnie nieraz na ulicy...

- Tak, możliwe... Ale czemu spędza pani lato tutaj? Dlaczego nie wyjechała pani na wakacje?

- Nie mam dokąd wyjechać. Nie mam rodziny. To znaczy mam ciocię w Pskowie, ale w kwietniu wyszła za męża, a domek tam malutki. Zresztą latem w Leningradzie wcale nie jest źle. Wczoraj znów byłam w Ermitażu, a jutro wybieram się do Muzeum Rosyjskiego.

- Sama?

- Sama. Dlaczego pan pyta? Msze pójdziemy razem?

- Jutro jestem bardzo zajęty, nie będę mógł - skłamał Jurij. Miał ogromną ochotę przyjąć to zaproszenie, ale wiedział doskonale, że z plecakiem na żadną wystawę go nie wpuszczą. - Ale pojutrze wybieram się na grzyby do Mochowa. Nie pojechałaby pani ze mną? - Ten pomysł z lasem i grzybami przyszedł mu do głowy całkiem nieoczekiwanie.

- Dobrze - odparła Tania. - Bardzo lubię zbierać grzyby. Gdzie się spotkamy?

- Najlepiej tutaj o siódmej.

Jurij wbiegł na swoje piętro nie korzystając z windy i nie czując ciężaru kuli w plecaku. I chociaż spotkanie z Tanią czekało go dopiero pojutrze, postanowił natychmiast doprowadzić się do ludzkiego wyglądu. Starannie się ogolił, potem wyczyścił buty. Wreszcie, zabierając

nierozłączną torbę z Konstancją, skierował się do łazienki, by wyprać koszulę “non iron”, a przy okazji skarpetki. W korytarzu spotkał Wawika.

- Jura, zdaje się, że wczoraj przeholowałem - powiedział Wawik cicho. - Zapewniam pana z głębi swego szlachetnego serca, iż nie napiszę żadnego doniesienia w pańskiej sprawie. Ale mam jednocześnie nadzieję, że i pan nie będzie rozpowiadać bez potrzeby o moich optycznych wyprawach w świat piękna.

- Nie będę - lakonicznie odpowiedział Jurij i Wawik ruszył do swego pokoju podśpiewując.

Dawniej - to wielbłądów była tajemnica,  
Tak się dawniej wita tylko anakonda,  
Taki krok się zdarzał tylko u wielbłąda,  
A dziś z nimi tańczy shimmy cały świat!  
Shimmy wciąż tańczyli za granicą,  
A dziś shimmy tańczy cały świat!

Następnego dnia stanawszy w pobliżu komisur Jurij za grosze opylił aparat fotograficzny, żeby nie jechać za miasto z pustką w kieszeni.

## ROZMOWA W LESIE

Nadszedł ranek spotkania jasny i pogodny. Kiedy Jurij zjawił się na skwerze, Tania już tam na niego czekała. Siedziała na ławeczce, a spostrzegłszy naszego bohatera wstała natychmiast i ruszyła w jego kierunku. Miała na sobie skromną szarą sukienkę, w ręce trzymała torbę, do której włożyła płaszcz na wypadek deszczu.

- Do tej pani torby niewiele zmieści się grzybów - zauważył Jurij.

- Za to pan ma cały wór - uśmiechnęła się Tania. - Co w nim jest? - Leciutko uniosła plecak wiszący na plecach Jurija, -t Ojej, dlaczego on taki ciężki?

- Mam w nim ortalion, a nuż pogoda się popsuje. I kulę. Jest bardzo ciężka. Noszę ją specjalnie, dla treningu, żeby nie męczyć się potem przy dźwiganiu ekwipunku na wyprawach turystycznych - pomysłowo wybrnął Jurij, ale humor od razu mu się popsuł i całą drogę w tramwaju, a potem w podmiejskim pociągu na pytania Tani odpowiadał od rzeczy. Nie dawała mu spokoju myśl o nieograniczonej władzy Konstancji nad nim.

Jurij spochmurniał jeszcze bardziej, kiedy wysiedli w Mochowie i zagłębili się w las, który przypominał mu tamten, inny. Także tutaj w jakimś miejscu zagroził drogę porośnięty młodymi osinami okop, a na wykrzywionych palikach również zwisał rdzewiejący drut kolczasty. I też najpierw były sosny, łagodny pagórek, a potem zaczęła się równina. Wreszcie - jak wówczas - nadciągnęła burza.

Tym razem w niebie starty się potężne siły bojowe. Najpierw grzmoty były krótkie i niezbyt donośne. Ale nagle włączyła się do akcji ciężka artyleria niebios - odwoły Naczelnego Dowództwa. Toczył się decydujący bój. Niebo huczało i płonęło łunami. Przy okazji oberwała także ziemia. Odłamki gwizdały wśród gałęzi, raniły liście. Dobiegł skądś śwąd płonącego torfu. Jurij i Tania nałożywszy płaszcze stali pod brzozą, chroniąc się przed gradem.

- Przyniosłem pani pecha posepnie oświadczył Jurij. - I grzybów na razie nie znaleźliśmy i znów trafiliśmy na burze. Nie boi się pani?

- Troszeczkę, ale jest mi także wesoło - odparła dziewczyna. - Ale dlaczego powiedział pan "znów"?

- Przejęczyłem się. Dla mnie to jest znów. Z burzą kojarzy mi się pewne smutne wydarzenie.

- Pan w ogóle jest bardzo smutny. Jakby cały czas przytłaczał pana jakiś ciężar.

- Jeśli pani chce, opowiem, jaki to ciężar. Oczywiście będzie pani mną gardzić i nie zechce mnie znać - co będzie absolutnie słuszne... Ale nie mam nikogo, komu mógłbym to opowiedzieć... Bardzo proszę, niech pani mnie wysłucha. A potem odprowadzę panią do miasta i tam rozstaniemy się na wieki. - Mówiąc to Jurij wyjął z plecaka Konstancję, która jak zwykle zawisała w powietrzu. - Oto ona. Jak pani sądzi, czy ta kula jest dobra czy zła?

- Moim zdaniem, ani dobra ani zła. Natomiast strasznie obca.

- Ma pani rację, obca: to KWEPPS. Kula wszechprzenikająca, eksterytorialna, pochodzenia pozaziemskiego, samosterowna. Nazwałem ją Konstancją. Teraz opowiem, jak okropnie wpadłem.

W tym momencie rozległ się ogłuszająco bliski trzask pioruna. Wierzchołek świerku rosnącego jakieś sto metrów od miejsca, gdzie stali Jurij i Tania, zaczął dymić i runął na ziemię. Podmuch wiatru doniósł do nich żywiczny zapach dymu. Konstancja rozjarzyła się na różowawo, potem pociemniała. Oddzielił się od niej jasnozielony świetlisty pierścień i powiększając się odpląnął ku górze. W tej samej chwili wśród granatowych chmur powstał okrągły błękitnawy prześwit o średnicy mniej więcej pół kilometra. Ukazało się słońce. Bój na niebie trwał nadal, ale wokół Jurija i Tani rozciągała się sfera ciszy i spokoju.

- Konstancja chroni nas przed piorunami wyjaśnił Jurij. - ściślej mówiąc, chroni wyłącznie mnie, nikt poza tym jej nie obchodzi... A teraz proszę słuchać... - I z całą szczerością opowiedział Tani, w jakich okolicznościach kula przyczepiła się do niego i jak wygląda jego życie we władzy Konstancji.

Opowieść trwała długo. Kiedy Jurij skończył smutne wyznanie, bitwa na niebie zbliżała się do kresu. Jedna ze stron walczących pokonała drugą i nastął pokój na całym sklepieniu niebieskim. W lesie zapadła cisza i słychać było śpiew ptaków. Jurij spojrzął na Tanie i zobaczył, że po jej twarzy spływają łzy.

- Czemu pani płacze? - spytał. - To ja powinienem płakać.

- Bardzo mi pana żal i dlatego płaczę - odparła dziewczyna. - Coś trzeba robić, tak człowiek żyć nie może.

- Co tu można zrobić - z rezygnacją zaproponował Jurij. Schował kulę do plecaka, tamże włożył płaszcz i powłókł się przez wątki zagajnik w kierunku drogi. Tania ruszyła za nim i powiedziała:

- To zupełnie jasne, co trzeba zrobić. Należy uczciwą pracą zarobić dziesięć tysięcy i zwrócić je kuli. Włożyć je do takiej samej teczki i odnieść w to samo miejsce przy drodze, gdzie je pan znalazł. Wówczas kula się odczepi.

- Taniu, od samego początku uważałem, że pożyczyłem te pieniądze od losu... Ale jak teraz zwrócić ten dług?...

- Z całą pewnością niełatwo jest łączyć taką sumę - powiedziała w zamyśleniu. - Ale ja panu pomogę. Za rok skończę technikum i będę nieźle zarabiać.

- Dziękuję, Taniu... Ale co ja będę robił? Dziennikarz ze mnie marny. Z wykształcenia jestem nauczycielem, ale do szkoły pracować nie pójdę: nie mogę przecież być wychowawcą mając nieczyste sumienie!... W przemyśle także nie znajdę pracy, bo co tam zrobię z Konstancją? Zatrzymają mnie w portierni i spytają, co niosę w plecaku...

- Jura, musi pan znaleźć taką pracę, gdzie nie ma portierni.

- Tak, tak zrobię... Taniu, nie jest pani zmęczona? Proszę mi dać swoją torbę.

- Ależ skąd, jest leciutka... Zresztą - jeśli pan chce, proszę. A ja wezmę plecak.

- Jest bardzo ciężki... No dobrze, niech pani spróbuje dla zabawy. Tylko proszę nie odchodzić ode mnie dalej niż na trzy kroki, bo Konstancja wyrwie się na zewnątrz.

Tania zarzuciła plecak na ramiona i szła obok Jurija. Nagle zawołała:

- Oj, grzyb! Prawdziwy maślak! - Pośpiesznie rzuciła się w stronę grzyba.

- Ostrożnie, Taniu! - krzyknął ostrzegawczo Jurij. - Kula zaraz...

Ale kula pozostawała w plecaku. Dziewczyna przeszła pięć, sześć, osiem kroków - a Konstancja pozostawała w plecaku.

- Taniu, pani ją oswoiła! - zdumiał się Jurij. - Nie wyrwała się!... Zróbmy jeszcze jedno doświadczenie. Niech pani zdejmie plecak, położy go na ziemi i idzie do mnie.

Tania zrobiła tak, jak chciał Jurij. Ledwie jednak zrobiła czwarty krok, kula wyrwała się z plecaka i znalazła się w powietrzu obok niej, a potem pomknęła do Jurija, który westchnął z udręką.

- Niech pan się nie martwi - powiedziała Tania. - Kiedy wrócimy do miasta, załatam pański plecak, a na razie schowamy kulę do mojej torby.

- Martwię się czymś innym. Ni stąd, ni zowąd zacząłem wierzyć, że Konstancję będzie można zostawić tu w lesie, że wreszcie się od niej uwolnię. Tymczasem stało się coś znacznie gorszego. Nie tylko nie uwolniłem od niej siebie, lecz na dodatek przyczepiła się do pani.

Wygląda na to, że teraz jedziemy na jednym wózku.

- No to co, będzie teraz panu łatwiej - spokojnie odparła Tania.

- Ale za to pani będzie trudniej. Nie boi się pani tego?



- Nie. Cieszę się, że mogę panu pomóc... Wie pan co, na razie jestem w internacie sama. Mogę wziąć kulę na parę dni do siebie, żeby pan choć trochę od niej odpoczął. Nikt o niczym się nie dowie.

- Dziękuję, Taniu... Chciałbym jeszcze udzielić pani pewnej rady. Proszę wieczorami zasłaniać okno. W naszym domu mieszka pewien amator zaglądania do cudzych mieszkań. Ma nawet najrozmaitsze przybory optyczne.

- Dziękuję, Jura, że mi pan to mówi... Do głowy by mi nie przyszło, że ktoś może podglądać... A firanki mamy z muślinu; dają jedynie złudzenie, że cokolwiek zaalaniają... Nawiasem mówiąc, nasz internat przenosi się wkrótce do innego budynku, a ten dom zostanie przekazany Zjednoczeniu. Będzie to hotel robotniczy dla mężczyzn.

Po powrocie do miasta i odprowadzeniu Tani do drzwi internatu Jurij wróciwszy do swego pokoju po raz pierwszy od bardzo dawna zasnął bez kuli wiszącej nad głową. Usnął jednak nieprędko. Chociaż kuli nie było w pobliżu, świadomość, że w rzeczywistości istnieje i znajduje się obecnie u Tani, nie była zbyt wesoła. "Niepotrzebnie zrzuciłem na nią ten ciężar - rozmyślał Jurij. - Jutro odbiorę kulę".

Rano rozległo się delikatne pukanie. Wszedł Wawik.

- A gdzie kuleczka? - spytał ze słodyczą. - Do szaleństwa stęskniłem się za naszym wspólnym krąglutkim przyjacielem... Jura, czy nie mógłby mi pan jednak choć troszkę pomóc w przyspieszeniu nabycia tego przyrządu optycznego, o którym...

- Wawilonie Wiktorowiczu, dziewczęta wkrótce przeprowadzają się do nowego budynku. Tutaj zaś będzie hotel robotniczy dla operatorów koparek i ślusarzy-mechaników.

- Cóż za straszliwa nowina!... Wali się w gruzy świat piękna!... - Nieszczęsny staruszek z opuszczoną głową i oczami pełnymi łez wyszedł z pokoju.

Niedługo potem rozległ się nieśmiały dzwonek. Jurij otworzył drzwi wejściowe i do przedpokoju weszła Tania. Niosła ciężką torbę z Konstancją.

- Jest pan zdziwiony, że przyszedłem?

- Jestem szczęśliwy - cicho odparł Jurij. Wszedłszy do pokoju Tania natychmiast wyjęła kulę, która zawisała w swym zwykłym miejscu, trzy kroki od naszego bohatera.

- Proszę dać mi plecak, zreperuję go - powiedziała dziewczyna. - A tu są dwa ruble. Dostałam je od kuli dziesięć minut temu. Natychmiast potem skierowała na ścianę niebieski promień i wypisała tam pańskie nazwisko i adres. Ten napis nie zdążył jeszcze zblednąć, kiedy byłam już gotowa do wyjścia.

- Dziękuję, droga Taniu! Świetnie, że pani przyszła i że przyniosła Konstancję. Powinna jednak być ze mną, ostatecznie to ja a nie pani połamiałem się na dziesięć tysięcy.

- Jura, kiedy jednak kula będzie panu przeszkadzała, musi mi pan ją dawać na jakiś czas. Zgoda?

- Zgoda.

Tego samego dnia Jurij zapisał się na skrócony kurs dla palaczy centralnego ogrzewania. Dostał tam zaliczkę i Konstancja z miejsca przestała mu wypłacać codzienne dwa ruble. To przejście na własny rozrachunek uradowało i naszego bohatera, i Tanie. Po ukończeniu kursu Jurij zaczął pracować w osiedlowej kotłowni, a w czasie wolnym od dyżurów jeździł na stację Leningrad-Towarowa, gdzie ładował wagony. W kotłowni zawsze dyżurował z plecakiem na ramionach, tłumacząc, że traktuje to jako trening przed daleką wyprawą turystyczną. Natomiast idąc na stację często zostawiał Konstancję pod opieką Tani, a właściwie to Tania siedziała w domu pod nadzorem Konstancji.

W pół roku po pamiętnej wyprawie do Mochowa młodzi ludzie wzięli ślub i Tania przeprowadziła się do Jury. Wesele było skromne, z ciastem, ale bez alkoholu. Gości nie zaproszono. Jedynie niezmienny nieproszony gość - Konstancja - uczestniczyła w tym bezalkoholowym weselnym przyjęciu.

## KONSTANCJA ZNIKA

Od ślubu minął rok i kilka miesięcy. Jurij i Tania żyli ze sobą bardzo dobrze, ale nie można powiedzieć, że szczęśliwie, albowiem nieustanna obecność Konstancji fatalnie oddziaływała na ich psychikę. Kula była wciąż taka sama: ciemna, zimna, wszechmogąca i wszechwiedząca. Nie można było do niej przywyknąć, jak nie można żyć pod jednym dachem z bombą atomową.

Chociaż małżonkowie zarabiali nieźle (po ukończeniu technikum pracowała również Tania), żyli niesłychanie skromnie, wszystkiego sobie odmawiając. Koledzy z pracy i sąsiedzi uważali ich za skąpiradła, utwierdziwszy się w niesłusznym przekonaniu, że są chciwi z natury. Jurij i Tania nie mogli przecież powiedzieć obcym, dlaczego żyją tak oszczędnie. To była ich tajemnica. Ciułałi pieniądze, by zwrócić Konstancji dziesięć tysięcy i uwolnić się w ten sposób od jej dokuczliwej obecności.

Koledzy w pracy uważali młodą parę nie tylko za sknery, lecz również za istoty skryte, nietowarzyskie, zamykające się we własnym świątku. Ludzie nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli, że nietowarzyskość Tani i Jury tłumaczy się wcale nie negatywnymi cechami ich charakterów, ale pragnieniem, by zachować w tajemnicy istnienie Konstancji.

Tajemnica nadal pozostawała tajemnicą.

Oprócz młodych małżonków o istnieniu Konstancji wiedziało bardzo niewielu ludzi i te nieliczne osoby milczały. Kira - chroniąc własny spokój, profesor Rasswietow i pracownicy laboratorium - dotrzymując obietnicy. Wawik także nie stanowił obecnie niebezpieczeństwa. Od czasu kiedy dziewczęta wyprowadziły się z internatu i uniknęło zapotrzebowanie na kosztowne przybory optyczne, zasłonił swoje okno czarnymi storami na znak żałoby po świecie piękna, który odszedł, i całe, dni spędzał w biurach wymiany mieszkań, szukając czegoś dla siebie. Ale wymagania Wawika były tak specyficzne, że nie należało spodziewać się końca poszukiwań.

Stało się to dwunastego stycznia.

Jurij wracał do domu po nocnej zmianie. Nękały go w ten zimowy rano niewesołe myśli. Rozmyślał o tym, że do tej pory odłożyli na książeczkę zaledwie tysiąc sto pięćdziesiąt rubli. Suma, oczywiście, nie mała, ale przecież, żeby uwolnić się od Konstancji, muszą zgromadzić dziesięć tysięcy. Ileż lat jeszcze będą musieli żyć wszystkiego sobie odmawiając? Co prawda z czasem zbieranie pieniędzy pójdzie szybciej, ponieważ zarobki i jego, i Tani wzrosną, ale mimo to... Nad sobą Jurij nie bardzo się litował, natomiast ogromnie było mu żal Tani. Ubiera się w znoszone sukienki, jej niebieski sweter spłóciał i przetarł się na łokciach, a płaszcz dawno już przestał być modny. Przez cały okres wspólnego pożycia zaledwie trzykrotnie byli w kinie, o teatrze w ogóle nie ma mowy. Wprawdzie Tania nigdy nie narzeka, ale on dobrze wie, że nie jest jej słodko. W ten sposób ani się człowiek obejrzy, jak młodość przeminie... Idąc do domu na przełaj przez zasypany śniegiem skwer Jurij uniósł wzrok i spostrzegł w swoim oknie światło. Tania powinna być już o tej porze w pracy. Czyżby zachorowała? Przyspieszył kroku, wreszcie pobiegł. Oto winda. Ale się wlecze!

Kiedy wszedł do pokoju, przygnębiona Tania siedziała przy stole. Miała zapłakane oczy. Przed nią leżał jakiś list. Jurij machinalnie zsunął plecak z ramion i wypuścił Konstancję, która natychmiast zawisła w powietrzu.

- Taniu, co się stało? Źle się czujesz?

- Nie. Czekam na ciebie. Masz, przeczytaj. - Podała mężowi kartkę papieru listowego, pokrytego dużym, lecz niewyraźnym pismem.

- Powiedz mi sama, o co chodzi?

- Spłonął dom i cały dobytek cioci Warii. Już od tygodnia mieszka u sąsiadów w jakiejś przechodniej klitce... Jej mąż natychmiast wrócił do byłej żony... Ciocia jest zupełnie sama.

Bardzo mi jej żal, przecież wychowała mnie, niczego mi nie odmawiała... I rozumiesz, proszę, żebym pożyczyła jej tysiąc rubli. Ale ja wiem, że nie będzie mogła tego oddać.

- W pracy jej nie pomogą?

- Pomogą na pewno, już dostała zapomogę. Tylko że wszystko jej się spaliło, i domek, i wszyściutko... W dodatku nie była ubezpieczona.

Jurij zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju - od drzwi do okna i z powrotem. Kula dotrzymywała mu towarzystwa. Potem Jurij przysiadł na łóżku i zaciągając się chciwie przez dwie minuty patrzył na Konstancję wiszącą trzy kroki od niego na wysokości oczu. Potem przeniósł wzrok na Tanię; wciąż siedziała przy stole w swoim wytartym, niegdyś niebieskim, a obecnie nie wiadomo jakiego właściwie koloru sweterku. Potem wstał, zapalił następnego papierosa. Wreszcie powiedział:

- Taniu, idź do pracy, bo będziesz miała nie usprawiedliwioną nieobecność. A ja pośpię do jedenastej.

- Dlaczego do jedenastej? jakimś zgubionym głosem spytała Tania.

- Przecież kasę oszczędności otwierają dopiero o jedenastej. Później pójde na pocztę. Jak te pieniądze wysłać: normalnie czy telegraficznie?

- Telegraficznie... Dziękuję, Jura. Nie spodziewałam się po tobie niczego innego... Ale będziemy musieli oszczędzać od nowa. Wytrzymasz?

- Z tobą - tak!

W tym momencie wokół Konstancji rozbłysł niezbyt jasny, powoli obracający się pierścień. Z pierścienia oddzielił się błękitny promień i zaczął sunąć po ścianie, pozostawiając wyraźne, gasnące stopniowo słowa:

**ZNIKAM PRZEKONANA O CENNYCH WŁAŚCIWOŚCIACH DUCHOWYCH  
SZEREGOWEGO MIESZKAŃCA PLANETY - OD TEJ CHWILI ZIEMIA ZNAJDZIE SIĘ  
W WYKAZIE PLANET, Z KTÓRYMI MOŻLIWE SĄ PRZYJAZNE KONTAKTY -  
DZIĘKUJĘ ZA UWAGĘ**

Potem kula uniosła się wyżej, zbliżyła do okna i wysunęła dwie czarne dźwigienki, które sięgnęły do lufcika. W mgnieniu oka lufcik otworzył się. Kula wciągnęła dźwigienki i znalazła się za oknem. Potem - najpierw wolniutko, a później coraz szybciej - KWEPPS zaczęła oddalać się od okna, od domu, od ulicy, od Ziemi. Przez chwilę jeszcze widać było świetlisty ślad, biegnący nad skwerem, nad dalekimi dachami i skośnie biegnący w niebo, ku gwiazdom.

Potem i ślad się rozpułynał.